



Heidi Rice



Wycieczka na Manhattan

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Nie rób tego! Złapie cię i każe aresztować!

Daisy Dean przestała dłużyć w absurdalnie wysokim płocie sąsiada, spojrziała na Juno, swoją najlepszą przyjaciółkę, po czym szepnęła:

- Nie złapie mnie. W tym stroju jestem niewidzialna. - Na tę akcję skompletowała ubiór całkiem specjalny: obwisłe levisy czternastoletniej Cal, granatowy golf drobniutkiej Jacie, jej matki, za małe glany Juno.

Nigdy nie przebierała się tak dziwnie. Jedyne, co odziedziczyła po lekko-myślnej i nieodpowiedzialnej rodzicielce, Lily Dean, to dobry gust, z czego szczerze korzystała. Nie lubiła monotonii, nie zamierzała ukrywać się pod kocem.

Lecz teraz, niczym Terminator, wysłana została z misją specjalną. Miała odnaleźć kota gospodni.

- Nie martw się, Juno, i daj mi czapkę. - Spojrzała na mur. Czyżby gwałtownie urósł o metr, a nawet dwa? - Musisz mnie podsadzić.

Wystraszona Juno podała czarną wełnianą czapkę.

- Boże, nie pozwól, bym została uznana za współwinną - modliła się, wznosząc oczy ku siedzibie Najwyższej Instancji.

- Nie bądź głupia. - Daisy schowała włosy pod czapkę. - To nie przestępstwo. Naprawdę.

- Nie?! - Juno wzbudzała zainteresowanie oryginalną urodą, mawiano o niej, że wygląda jak dobra wróżka. Lecz teraz była rozeźloną wróżką. - A ja myślę, że nazywa się to wtargnięciem!

- Są okoliczności łagodzące - szepnęła Daisy, myśląc o strapionej pani Valdermeyer. - Pana Pootlesa nie ma od ponad dwóch tygodni, a nasz aspołeczny sąsiad jako jedyny w okolicy nie zdobył się na tę odrobinę przyzwoitości, by pozwolić przeszukać swój ogród. A jeśli Pan Pootles właśnie kona z głodu? Tylko my możemy go uratować.

- Może sprawdził?

- Wątpię. Wierz mi, tacy jak on nie mają bezsennych nocy z powodu zaginionego kota.

- Skąd wiesz? Nigdy z nim nie rozmawiałaś.

- Niby jak, skoro nas unika?

Tajemniczy sąsiad przed trzema miesiącami kupił zrujnowany georgiański dworek, wyremontował go w rekordowym tempie i wprowadził się dwa tygodnie temu. Jednak mimo podejmowanych wysiłków, czyli liściku, który Daisy wsunęła w drzwi, a także wiadomości przesłanej przez panią zajmującą się sprzątaniami, nie uczynił najmniejszego wysiłku, by przywitać sąsiadów z pensjonatu pani Valdermeyer czy przyłączyć się do poszukiwań Pana Pootlesa.

Mówiąc wprost, był po prostu gburem. Wczoraj, w geście ostatniej szansy, zostawiła mu domowe ciastka, i co? Nawet nie oddał talerza, nie wspominając już o podziękowaniu. Najwyraźniej był zbyt bogaty i egocentryczny, by przejmować się kłopotami takich szaraczków jak one.

I ten jego wygląd...

- Wystarczy na niego spojrzeć, by wiedzieć, co to za jeden. - Daisy zerknęła na niego kilka razy, gdy przechodził z domu na podjazd do bajeranckiego, paliwożerzego wozu. Metr dziewięćdziesiąt, smukły, umięśniony i na swój szorstki sposób przystojny. Kompletny sobek. Nawet zdalnie rozsiewał duże ilości testosteronu, by wabić niczego nieświadome kobiety.

Oczywiście ona była odporna na ten rodzaj testosteronu. Więcej, obecnie była uodporniona na tych wszystkich arogantów, zapatrzonych w siebie czarusiów zabawiających się kobietami. Jak Gary, który przed rokiem pojawił się znikąd w jej życiu, by rozpląnąć się we mgle trzy miesiące później, na czym ucierpiała jej duma, a serce też doznało uszczerbku.

Daisy poprzysięgła sobie, że już nigdy nie padnie łupem playboya. Potrzebowała miłego, zwyczajnego mężczyzny, przyzwoitego i godnego zaufania, który bę-

dzie ją kochał i szanował, a także miał takie same oczekiwania od życia co ona. Aha, i nie będzie dostrzegał różnicy między markowym ciuchem a ubraniem z supermarketu.

- Wciąż nie rozumiem, dlaczego po prostu nie spytałaś go o tego głupiego kota? - narzekała Juno.

- Kilka razy próbowałam go zaczepić, gdy wychodził z domu, ale zawsze tak szybko dopada do auta i odjeżdża. Musiałabym być sprinterką. - Nie mogła przyznać, że się go trochę bała. Na tyle „trochę”, że wołała nie stawać z nim twarzą w twarz.

- Dobrze. - Juno zrobiła z dłoni koszyczek. - Ale jak wpadniesz, to nie moja wina.

- Nie panikuj. - Daisy postawiła stopę na koszyczku. - Na pewno jeszcze nie wrócił. Dżipa nie ma, sprawdziłam. - Gdyby miała choćby cień wątpliwości, że koleś może być w domu, jej puls pobiłby szybkościowy rekord wszech czasów.

- Wiesz, że umiem być superdyskretna - oznajmiła buńczucznie. - Za nic nie wyczał, że tam byłam.

- Ty superdyskretna? W ogóle tego nie potrafisz!

- Potrafię, jak nie mam innego wyjścia. - Cóż, musi się postarać.

- Bla, bla, bla - szydziła Juno.

Daisy wspięła się wyżej, przez co golf uniósł się, odsłaniając brzuch i czerwona bieliznę.

- Cholera! - Zeskoczyła na ziemię.

- Co znowu?

- Brzuch mi widać, jak podnoszę ręce.

- To co?

- To, że po całym kamuflażu! Muszę zdjąć stanik.

- Po co?

- Golf ślizga się po satynie.

- Będzie ci się majtało.

- Przeżyję. - Pomerdała przy zapięciu, wyciągnęła przez rękaw satynowo-koronkowy staniczek i podała go Juno.

- Co ty widzisz w tej burdelowej bieliźnie?

- Zazdrosna jesteś. - Wiedziała, że Juno ma kompleks z powodu miseczek rozmiaru B.

Gdy znów się wspięła, piersi poczynają sobie całkiem po luzacku. Na szczęście w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby zauważyć ich dzikie harce. Daisy z dumą prezentowała feministyczną postawę, została jednak zbyt hojnie obdarowana przez naturę, by popierać akcję palenia biustonoszy.

- No, jazda! - Podciągnęła się, przełożyła nogę i usiadła okrakiem na murze.

Od okien domu odbijały się promienie księżyca. Daisy odetchnęła z ulgą. Na pewno go nie ma. Łatwizna.

- Wciąż nie wierzę, że to robisz - szepnęła Juno.

- Jesteśmy to winni pani Valdermeyer. Wiesz, jak uwielbia tego kota. - Była winna gospodyni znacznie więcej. Gdy Lily przed ośmioma laty po raz kolejny obwieściła, że znalazła „tego jedyne”, Daisy nie wyjechała razem z matką. Przeżona szesnastolatka została sama w Londynie, jednak pani Valdermeyer dała jej dom i zapewniła poczucie bezpieczeństwa, czego Daisy dotąd nie zaznała. Dlatego była gotowa zrobić wszystko dla swojej gospodyni. - Nie zapominaj też, że pani Valdermeyer mogła tysiąc razy sprzedać dom deweloperom, którzy są gotowi zapłacić fortunę, ale nie zrobiła tego, bo jesteśmy dla niej jak rodzina. A rodzina powinna trzymać się razem. - Przynajmniej Daisy tak uważała. Niestety nie miała rodzeństwa, nie miała też prawdziwej matki, na której mogłaby polegać.

- Pani Valdermeyer na pewno się ucieszy, jak wylądujesz w areszcie - panikowała Juno. - A ten facet ma szramę na twarzy! Tacy nie żartują.

Rzeczywiście, ta blizna mogła nieźle nastraszyć.

- Gdybym nie wróciła za godzinę, zadzwoń na policję. - Z lękiem spojrzała w dół.

- Po co? Żeby cię zawieźli do więzienia? - Juno patrzyła, jak jej przyjaciółka znika w ciemności po drugiej stronie muru.

- Zapomnij. Nie wyczaruję narzeczonej tylko po to, żeby udobruchać Melrose'a. - Connor Brody zsunął wilgotny ręcznik z bioder, przytrzymując słuchawkę. Telefon był z Nowego Jorku.

- Po party się wściekł - panikował Daniel Ellis, dyrektor zarządzający. - Oskarżył cię o uwodzenie Mitzi. Grozi zerwaniem transakcji.

Connor wciągnął spodenki, przeklinając ból głowy i Mitzi Melrose, kobietę, której nie chciał więcej widzieć.

- Dan, to ona wsunęła mi stopę w krocze pod stołem, nie odwrotnie. - Wzdrygnął się na wspomnienie tych niezbyt subtelnych zalotów.

Owszem, lubił kobiety z inicjatywą, jednak żona Eldridge'a Melrose'a szturmowała go cały wieczór, choć dał jej cholernie jasny sygnał, że nie jest zainteresowany. Nie flirtował z żonami i kochankami magnatów finansowych, z którymi właśnie dopinał transakcję, w tym przypadku kluczową dla jego planów biznesowych. Poza tym i owszem, lubił kobiety, lecz takie, które składają się ze szkieletu i naturalnych miękkości, a nie z botoksu i silikonu. Niestety Mitzi nie pojęła sygnału, i oto rezultat. Transakcję, nad którą pracował od wielu miesięcy, mogą diabli wziąć.

- Con, jeśli Melrose się wycofa, wrócimy do punktu wyjścia.

Przeszedł przez pogrążony w mroku salon do barku przy oknie zajmującym całą wysokość ściany. Narzekania Danny'ego nie pomagały na ból głowy. Pomasażował skroń, po czym nalał whisky do szklaneczki.

- Z powodu urojeń Melrose'a nie będę udawał, że mam narzeczoną. Swoją drogą Melrose powinien zastanowić się, kogo trzyma pod swoim dachem: żonę czy dziwkę. - Napawał się przez chwilę cudownym aromatem trzydziestoletniej whi-

sky, tak krańcowo innym niż smrodliwy porter, który był ponurym symbolem jego dzieciństwa, i wypił jednym haustem. Luksusowy trunek przypomniawszy mu, ile osiągnął, choć zaczynał od najpodlejszych zajęć, byle tylko przeżyć. Nie wszystko, co robił, napawało go dumą, jednak przebył długą drogę. Transakcja... Owszem, jest ważna, ale nie zamierzał dla niej robić z siebie błazna, odgrywać jakiejś inscenizacji, innymi słowy, postępować nieuczciwie.

- Con, do cholery, przesadzasz! Na pewno masz w kajeciku telefony całego tabunu kobiet, które dałyby się zabić za spędzenie z tobą dwóch tygodni w Waldorf Astorii, udając twoją ukochaną. A dla ciebie to też raczej nic straszniejszego.

- Nie mam kajecika. Danny, w jakiej ty żyjesz epoce? A nawet gdybym miał, żadna z nich nie zrozumiałaby tego odpowiednio. Dajesz kobiecie pierścienkę z diamentem, to wie tylko jedno. Nieważne, co mówisz. - Dwa miesiące temu przeżył rozstanie stulecia tylko dlatego, że uwierzył Rachel. „Con, zależy mi tylko na seksie i dobrej zabawie, nie oczekuję żadnych poważnych deklaracji”. Był pewien, że nadają na tych samych falach, a Rachel marzyła o weselnych dzwonach i dziecięcych buciach. Nigdy więcej.

- Chcesz rozwalić transakcję, gdy finał tak blisko? Nie wierzę!

- Lepiej uwierz. - Odstawił szklaneczkę, gdy poczuł w zbolanej głowie paskudną wibrację. - Do zobaczenia za dwa tygodnie. Jeśli Melrose uparł się zrobić mi na złość, to niech mu będzie.

- Hej, wszystko z tobą w porządku? Dziwnie mówisz.

- Nic mi nie jest, w ogóle cały świat jest śliczny i kolorowy. - W samolocie z Nowego Jorku złapał wirusa, a tu jeszcze ta historia z Melrose'em i jego żoną.

- Weź kilka dni wolnego. Zasuwałaś jak wariat przez długie miesiące, a przecież nie jesteś supermanem.

- Co ty nie powiesz. - Connor oparł czoło o chłodną szybę balkonowego okna i popatrzył na ogród. - Dobrze się wyśpię i po sprawie. - Wiedział, że to za mało. Fatalnie zniósł zmianę strefy czasu.

- Zaraz dam ci spokój. Posłuchaj, musisz solidnie wypocząć. Podobno strzeliłeś sobie niezłą chatę. Naciesz się nowym domkiem.

- Dobra, pomyślę o tym. Na razie, Dan. - Rozejrzył się po obszernym, oszczędnie umeblowanym, tonącym w półmroku salonie.

Pod wpływem impulsu kupił na aukcji tę opuszczoną georgiańską rezydencję i wydał majątek na renowację, poddając się idiotycznemu przesądowi, że facet po trzydziestce powinien mieć stały adres zamieszkania. Teraz, gdy dom został odnowiony i urządzone zgodnie z jego życzeniem, czyli przestronnie, minimalistycznie i nowocześnie, poczuł się tu jak w pułapce. Znał to uczucie z dzieciństwa. Cóż, nie nadawał się do osiadłego życia. Stały adres kojarzył mu się z więzieniem.

Terapeuta miałby niezły orzech do zgryzienia, gdyby zgłosił się do niego pacjent z takim problemem, jednak Connor już znalazł proste rozwiązanie. Sprzeda dom, oczywiście zarobi sporo grosza... i już nigdy nie będzie miał własnego mieszkania. Niektórzy potrzebują korzeni, stabilności, trwałości, lecz jemu wystarczą hotele i wynajmowane apartamenty. Brody Construction będzie całym jego dziedzictwem.

Rzucił słuchawkę na kanapę. Ten ruch wywołał ból w karku. Rany, nie czuł tego od dzieciństwa. Przed laty budził się z bolącymi pręgami po pasku ojca. Tylko nie to, pomyślał, próbując odegnać bolesne i wciąż jątrzące się wspomnienia.

Gdy spojrział przez okno, dostrzegł jakiś ruch w ogrodzie. Ubrany na ciemno człowiek, czy może raczej człowieczek, usiłował pełznąć nad grządką. Mimo rwącego bólu głowy zerwał się na nogi i zacisnął pięść, opierając ją o szybę. Wtedy intruz wstał i zniknął w cieniu krzewu pod murem.

- Co za... - rzucił gniewnie. - Co za cholerny dzień! - Poczł gwałtowny przypływ adrenaliny. Tylko idiota lub samobójca zaczyna z Connorem Brodym.

Owszem, obecnie był milionerem i należał do społecznej elity, ale wychował się w najpodlejszych zaułkach Dublinu. I przeżył, a to znaczy, że był prawdziwym

wojownikiem. Owszem, nie cierpiał tego domu, ale ten dom należał do niego! Agresor, który tu wkroczył, skazany jest na zagładę.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Kici, kici. Chodź, kiciusiu, do Daisy. Dobry kiciuś. - Starła się mówić szeptem, pocąc się i czując nieznośne swędzenie pod czapką.

Weszła głębiej w cień hortensji. Nic.

Trzeba było wziąć latarkę. W ogóle wszystko szło nie tak. Forsując mur, cudem nie skręciła karku, potem rozorała kciuk o różę... Wyczołgała się spod krzaka, starając się nie zniszczyć żadnej rośliny.

Stłumiała krzyk, gdy w nocnej ciszy rozległ się ochrypły jazgot. To Edgar, żyjący po sąsiedzku najbardziej nieznośny pies na świecie, omal nie przyprawił jej o zawał.

Possała zraniony kciuk. Cóż, mogła już wracać. Zrobiła wszystko, co w jej mocy, by odnaleźć Pana Pootlesa. Gdziekolwiek był, nie ukrył się w ogrodzie Pana Biznesmena.

Psi jazgot ustał. Ruszyła do muru... gdy potężna siła zwała ją z nóg. Poczowała na sobie męskie cielsko.

- Mam cię, koleś!

Wyłapała irlandzki zaśpiew i przeraziła się jeszcze bardziej.

- Ratun... - Nie dokończyła, bo wielkie łapsko brutalnie zakryło usta.

- Stul pysk, mały!

Chciała się wyrwać, lecz próba skończyła się żałośnie. Agresor uniósł Daisy, jakby nic nie ważyła, i ruszył w stronę domu. Szumiało jej w uszach, w ogóle apokalipsa. W proroczej wizji zobaczyła jutrzejsze tytuły w tabloidach:

Szukała kota, znalazła śmierć!

Tragedia w różanym ogrodzie!

Pan Pootles, Daisy Dean i dusiciel.

Kopnęła rozpaczliwie, przez co workowate spodnie zsunęły się z bioder. Gdy obejmujące ją ramię nieco poluzowało, upadła głową na trawę i złapała pasek dżinsów.

- Satynowe gacie? - zdumiał się agresor. - Co jest grane?

Nerwowo podciągnęła spodnie. W świetle latarki widziała potężny tors, czarne brwi i falujące ciemne włosy. Czyżby napadł ją diabeł? Ponowiła próbę wrzasku, lecz tylko pisnęła żałośnie.

Connor zerwał jej czapkę z głowy i rude włosy rozsypały się malowniczo.

- Dziewczyna!

- Nie jestem dziewczyną! - zdołała wreszcie wrzasnąć. - Tylko dorosłą kobietą, ty bandziorze! - Jak śmiał tak ją sponiewierać?!

- Rozumiem... Tylko nie rozumiem, po co dorosła kobieta włamuje się do mojego domu?

Podtrzymując opadające spodnie, przywołała zdrowy rozsądek. Facet jest dwa razy od niej większy i wściekły, a ona wdaje się z nim w pyskówki? Nie ma co walczyć o swoje racje, tylko...

Gdy spróbowała wystartować w stronę muru, mocne palce zacisnęły się na jej ramieniu.

- Jeszcze nie teraz, szanowna pani. Najpierw proszę odpowiedzieć na kilka pytań.

- Puść mnie! - pisnęła jak przerażona mysz.

Oprawca zawlókł ją na taras, minął przeszklone drzwi i kuchnię, na koniec, ciągnąc Daisy po lśniącej dębowej podłodze, wprowadził do salonu i cisnął na pokryty skórą fotel.

Chciała się zerwać, ale oparł się o podłokietniki, przemieniając się w zaporę nie do pokonania. Ciepło biło z nagiego torsu jak z pieca, atakował ją ciężki zapach

mydła... no, zapach faceta. Wzdrygnęła się, gdy spojrzała w jego zimne, złe, błękitne oczy.

Z jego mokrych włosów na sweter Daisy kapnęło kilka kropli wody, które przedostały się do piersi. Cholera, sutki gwałtownie stwardniały! A ona, głupia, zdjęła biustonosz. Szarpnęła się nerwowo.

- Siedź spokojnie! - warknął, lustrując ją wzrokiem. - Jak nie będziesz grzeczna, dostaniesz lanie.

Przeraziła się jeszcze bardziej. Oprawca! A zarazem facet miał w sobie coś. Ciemne brwi, kanciaste policzki, blizna na szczęce, długie rzęsy...

- Nie możesz mnie bić!

- Nie prowokuj! - Intensywnie patrzył jej w oczy.

Daisy znów nakazała sobie rozsądek. Nie wolno jej prowokować zбира.

Przezesął ręką włosy, po czym znów spojrzał na jej piersi.

- Nie trzęś się tak. Masz szczęście, bo nie biję kobiet.

Pogarda w jego głosie przelała czarę goryczy.

- Wystraszyłeś mnie na śmierć, barbarzyńco! - krzyknęła.

- Bezprawnie weszłaś do mojego ogrodu. Oczekujesz czerwonego dywanu i powitalnych fanfar?

Ruszył do kuchni, zanim zdążyła wymyślić ciętą ripostę. Zauważyła, że kołysał się w charakterystyczny sposób, jakby był na statku. A gdy pochylił się nad zlewem, dostrzegła blade blizny na plecach. Kimkolwiek był ten facet, z pewnością nie był bogatym, rozpieszczonym, narcystycznym playboyem.

Szrama na twarzy, blizny na plecach... Ten człowiek nie miał łatwego życia, zaznał przemocy, może i nędzy. Poczowała współczucie, lecz i tak nadal się go bała. Wiedziała, że nie powinna go drażnić, prowokować.

Nalał wody do szklanki i odwrócił się do niej. Pod jego spojrzeniem w upalny lipcowy wieczór robiło się jej zimno... i gorąco na przemian.

Łapczywie wypił wodę. Daisy też była spragniona, po tych wszystkich emocjach miała w ustach Saharę.

Gdy odstawił szklanę, ostry dźwięk sprawił, że podskoczyła. Potarł skronie, wzdychając ciężko. Gdy skulił szerokie bary, wyglądał mniej przerażająco. Podniesiona na duchu, wstała z fotela.

- Siadaj, do cholery! - Gwałtownie podniósł głowę. - Jeszcze nie skończyliśmy.

Klapnęła z powrotem na fotel. Owszem, facet był groźny i potężny, jednak widziała głównie sińce pod oczami i inne oznaki znużenia. Zaraz jednak przepędziła litościwe uczucia. Owszem, koleśowi coś dolegało, lecz nie zmieniało to faktu, że był zimnym draniem. Taki, co to mógł pozwolić Panu Pootlesowi umierać długo i w cierpieniu.

Lepiej hamować sympatię do Dużego Złego Wilka.

- O co ci właściwie chodzi? - spytała.

W odpowiedzi uniół brwi, Daisy natomiast omiotła wzrokiem jego umięśniony tors, zerkając niżej i niżej, a fantazje napływały same.

Co ona wyrabia?! Gdy uniosła głowę, zobaczyła, że facet patrzy na nią. Wyczuł jej niestosowne myśli? Zrobiło się jej gorąco. Znów patrzyła na jego tors. Na lewym ramieniu wyblakły tatuaż przedstawiający krzyż celtycki.

Przełknęła ślinę. Co się z nią dzieje? Owszem, koleś jest super, ale przecież nigdy nie leciała na aroganckich, obłudnych zbirów, nawet jeśli są super.

- Co robiłaś w moim ogrodzie? - spytał niby spokojnie, a tak naprawdę groźnie.

Dumnie uniosła głowę. Nie zamierzała się kajać. Wypełniała szlachetną misję, nawet jeśli teraz wydawała się samobójcza.

- Szukałam kota mojej gospodyni.

- Masz mnie za kretyna?

- Wabi się Pan Pootles. Ryży, spory, zezowaty. Zaginał dwa tygodnie temu.

- Nie mogłaś zapukać do drzwi i zapytać, czy go nie widziałem?

- Przecież próbowałam! Nigdy nie otwierałeś. - Gdyby choć raz otworzył te cholerne drzwi, nie byłoby tego całego pasztetu. Więc kto tu jest winny?

- Byłem za granicą przez cały tydzień.

- Pan Pootles zaginał przed dwoma. Poza tym przekazałam ci wiadomość przez sprzątaczkę. I ciasteczka. - Gdy znów uniósł brwi, skonfundowała się.

Po co wspomniała o tych ciasteczkach?

Wyszła na natrętną, namolną wręcz osobę.

- Dobra, nieważne. - Wstała, przybierając skruszony wyraz twarzy. - Przepraszam, że zawracałam głowę. Byłam pewna, że cię nie ma, a naprawdę martwię się o kota. Już widziałam, jak zdycha z głodu w twoim ogrodzie.

- Szukałaś kota, a ubrałaś się jak włamywacz? Ciekawe...

Gdy zmierzył ją wzrokiem, poczuła w sobie dziwne emocje.

- No bo... - Jak miała to wyjaśnić, żeby nie wyjść na wariatkę. - Pójdę już. - Modliła się w duchu, by pozwolił jej ocalić tę nędzną resztkę godności, która jeszcze pozostała. - Już wiem, że nie ma go u ciebie. Muszę wracać...

- Zaraz, chwileczkę.

Ku swemu zdumieniu dostrzegła na jego twarzy coś jakby uśmiech.

- Lepiej już pójdę...

- Dostałem ciasteczka. Były pyszne, mniem, mniem. - Poklepał się po brzuchu.

Faktycznie się uśmiechał.

- To dlaczego nie odpowiadałeś?

- Sprzątaczką nie najlepiej zna angielski, więc musiałem źle ją zrozumieć. - Nagle wyprostował się, zachwiał, oparł o blat.

- Co się stało? - Daisy podskoczyła do niego.

- Nic... - Zbladł gwałtownie.

Oczywiście kłamał, ale nie miała zamiaru się narzucać. Po tym, jak ją potraktował, niech kona w mękach.

- Wiem, co się stało z waszym kotem.

- Naprawdę? - Wszystkiego się spodziewała, tylko nie tego

- Chodź. - Trzymając się ściany, przeszedł przez kuchnię. Poruszał się jak starzec.

Podążyła za nim, mając na niego baczenie. Owszem, był łotrem, jednak cierpiał, a to zawsze ją ruszało. Okazywał jednak wyraźnie, że nie oczekuje od niej współczucia ani pomocy.

Wreszcie otworzył jakieś drzwi. Gdy zerknęła za nie, zobaczyła Pana Pootlesa. Leżał na starym kocu, a wraz z nim cztery kocięta.

Pan Pootles okazał się Panią Pootles.

- Pojawiła się po mojej przeprowadzce. Nie miała obroży, nie łaśiła się, więc uznałem ją za bezpańskiego dachowca.

Obok koca stała miseczka z mlekiem, druga z kocią karmą. Daisy uklękała i pogłaskała jedno z kociąt. Kudłata kulka drgnęła.

Może jednak Duży Zły Wilk nie był taki zły.

Jej gniew ustąpił. Z niechęcią przyznała przed samą sobą, że po prostu jest jej wstyd.

- Urodziła dziesięć dni temu - wychrypiał. - Opiekowała się nimi sprzątaczką. Na oko są w dobrej formie.

- Tak, widzę. - Coraz bardziej się wstydziła swojego wysoku. Wtargnęła na prywatny teren Bogu ducha winnego sąsiada, oskarżając go o wszystko, co najgorsze! Wstała, zastanawiając się, co dalej. Sąsiad patrzył na nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Już wiedziała, że łatwo nie będzie. - Bardzo przepraszam, panie...

- Brody. Connor Brody.

- Panie Brody, popełniłam rzecz niewybaczalną. Mam nadzieję, że już nie jest pan na mnie zły. - Wyciągnęła dłoń.

On jednak się nie ruszył, tylko wciąż przyglądał się Daisy. Co więcej, ku jej zdumieniu uśmiechnął się delikatnie, przez co z przystojniaka przemienił się w boskiego przystojniaka.

Wstrzymała oddech, jej serce biło jak szalone. Normalka. Zawsze, gdy zrobi z siebie idiotkę, to nie przed byle kim. Tym razem przed kimś, kto prezentował się jak wart ciężkie miliony cholerny gwiazdor.

- Więc jak, skończyłaś już karierę kociego włamywacza? - spytał rozbawiony, kontemplując kolejne części jej garderoby. - Szkoda, bo to rewelacyjny strój, w każdym razie jak dla ciebie.

Jakoś jej nie rozbawił. Wiedziała, że wygląda jak czupiradło.

- No, pogap się jeszcze. - Niczym modelka okręciła się wokół własnej osi, jednak mową ciała dobitnie oznajmiała: „Odwał się, frajerze!”.

- Rewelacja... A ty jak się nazywasz?

- Daisy Dean.

- Miło cię poznać, Daisy. - Skłonił się z uśmiechem, najwyraźniej świetnie się bawiąc.

- Wrócę jutro po koty, dobrze? - oświadczyła oficjalnym tonem, starając się zachować resztkę honoru.

- Będę czekał, ale zanim pójdziesz, chcę cię o coś zapytać.

- O co? - spytała nieufnie. Jego uwodzicielskie spojrzenie bardzo ją irytowało. Spojrzenie, który skupiło się na jej piersiach.

- Hm... Czyżbyś zgubiła biustonosz, przechodząc przez mur?

- Jak widzę, bardzo cię to bawi, Brody! - rzuciła ze złością, rumieniąc się przy tym.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo. - Zachichotał, lecz zaraz zaczął kaszleć.

- Wychodzę - wycedziła, nie próbując nawet udawać uprzejmej.

Owszem, wobec kota koleś zachował się przyzwoicie, ale i tak był arogantem i egocentrycznym dupkiem.

Coś grzmotnęło o podłogę. Odwróciła się gwałtownie. To gospodarz padł jak ścięty. Ukucnęła obok. Był blady, spocony, oczy zmętniały.

- Brody, co ci jest? - spytała z niepokojem.

- Nic...

- Nie zgrywaj bohatera. - Dotknęła jego czoła. - Jesteś rozpalony. Potrzebujesz lekarza.

- Nic mi nie jest - upierał się, próbując wstać.

Podawała mu rękę, ale ją odtrącił, choć słał się na nogach.

- Do cholery, Connor...

Zacisnął ręce na blacie, pot spływał mu po twarzy.

- Idź już, przecież chciałeś wracać do domu - wychrypiął, przez co wcale nie zabrzmiało to arogancko, tylko żałośnie.

Wzięła się pod boki.

- Ani myślę. Za dobrze się bawię, gdy tak sobie patrzę, jak cierpisz - ironizowała, wysyłając przy tym sygnał: „Cholera, Brody, daj sobie pomoc!”.

- Znikniesz wreszcie?

- A niech cię... Gdzie jest sypialnia? - Objęła go w pasie.

- Za ścianą jest pokój gościnny. - Zabrzmiało to tak, jakby ktoś tarł mu gardło papierem ściernym. - Sam tam dojdę.

- Nie wygłupiaj się. Nie dasz rady iść, przecież widzę.

Ku jej zaskoczeniu zrezygnował z protestów. Poprowadziła go do pokoju gościnnego, który, jak się spodziewała, był po prostu wspaniały. Szerokie drzwi balkonowe prowadziły do ogrodu. Zapaliła kinkiet i posadziła Connora na tapczanie. Lepił się od potu, cały drżał.

- Dziękuję. Możesz mnie już zostawić. - Zabrzmiało to, jakby czegoś się bał.

Daisy uśmiechnęła się. Co za zmiana ról! Nie mogła jednak zbyt długo upajać się chwilą, bo Connorem wstrząsnął gwałtowny kaszel.

- Wezwę lekarza.

- Po co, to tylko przeziębienie... - Protest został przerwany kolejnym atakiem kaszlu.

- Prędzej zapalenie płuc.

- Przecież to lipiec, upały, niemoż... - Znów nie dokończył przez kaszel.

Daisy pobiegła do kuchni i zadzwoniła do swojej lekarki. Maya Patel mieszkała dwie ulice dalej i była winna Daisy przysługę za pomoc przy organizowaniu zbiórki na rzecz klubu dla matki z dzieckiem. Poznała po głosie, że przyjaciółka już spała. Szybko przekazała jej, o co chodzi.

- W porządku. - Maya ziewnęła. - Musisz zbić temperaturę. Rozbierz go, rób zimne okłady, otwórz okno. Będę jak najszybciej. - Odłożyła słuchawkę.

Daisy wróciła do pokoju z miską lodowatej wody i ścierką do naczyń. Okropny kaszel ustąpił, ale czuła bijące od Connora gorąco. Pocił się przy tym strasznie.

- Lekarka kazała zbić temperaturę. - Uznała jego milczenie za zgodę, więc zanurzyła ścierkę w wodzie, następnie wyjęła ją i rozłożyła na torsie i brzuchu. Gdy Connor zadrżał pod jej dotykiem, poczuła ukłucie w sercu. - Doktor Patel już jedzie - powiedziała łagodnie. - Zawiadomić jeszcze kogoś?

- Nikogo nie potrzebuję - wychrypiał ledwie słyszalnie. - Nawet ciebie.

Akurat, pomyślała. Rozpaczliwie próbował ukryć swoją słabość, cóż, był tylko głupim mężczyzną, ale równie rozpaczliwie potrzebował pomocy. Potrzebował Daisy. Ona zaś kierowała się w życiu niezłomną zasadą: jeśli ktoś potrzebował pomocy, udzielała mu jej, czy delikwent chciał tego, czy nie.

Wyplukala ścierkę, wyżeła i położyła na jego czole. Znów zadrżał mocno.

- Nie masz wyjścia, twardzielu. - Pogłaskała go delikatnie. - Jesteś na mnie skazany, dopóki nie masz siły, by mnie stąd wyrzucić.

Zamknął oczy. Błogosławiony chłód łagodził okropne cierpienia. Jako dziecko nienawidził, gdy siostry rozczulały się nad nim, opatrując rany zadane przez pijanego ojca. Nienawidził, gdy był komuś coś winien, nienawidził poczucia zależności. Teraz jednak, gdy otworzył oczy, wzruszył się na widok sąsiadki, która z całym

oddaniem próbowała koić jego ból. Jasna karnacja, przyjazne, pogodne oczy. Daisy Dean przypominała mu alabastrową Madonnę z kościoła św. Patryka, która urzekała go, gdy jeszcze wierzył w moc modlitwy;

Lecz oto jego dziewicza panna odsunęła się nieco, by znów zanurzyć ścierkę w misce. Podążył spojrzeniem za nęcąco poruszającymi się piersiami ukrytymi pod materiałem. Mimo bólu i gorączki poczuł podniecenie.

Daisy delikatnie dotknęła jego czoła, odsuwając opadające na brwi włosy.

- Postaraj się zasnąć. Doktor Patel zaraz przyjedzie.

Opanowało go rozpaczliwe pragnienie, by cofnąć to wszystko, co wcześniej powiedział. Niech Daisy nie odchodzi! Otworzył usta, zdołał jednak tylko coś wychrypieć, coś, co nie ułożyło się w słowa. Chwycił jej nadgarstek, lecz sił miał tak niewiele.

- Nic nie mów. Tylko się zmęczysz. - W czułym geście ujęła jego dłoń. - Dobrze już, nigdzie nie idę - dodała, jakby czytając w jego myślach.

Zamknął oczy. Tracąc świadomość, zastanawiał się, czy chciałby widzieć, jak jego nagi anioł posyła go do piekła?

ROZDZIAŁ TRZECI

Daisy słuchała ciężkiego oddechu Connora. Zapadł w niespokojny sen. Przypominała sobie trzy zalecenia Mai. Podeszła do drzwi balkonowych i otworzyła je na oścież. Razem z okładami wykonała więc dwa. Może wystarczą?

Usiadła na łóżku i znów zaczęła przemywać zimną wodą twarz, tors i ramiona, słuchając cichych pomruków Connora, który walczył z gorączką.

Wreszcie dotarło do Daisy, że gorączka nie zamierzała ustąpić. Raczej wzrastała, a woda w misce była już letnia. Gdzie Maya? Już powinna być! Cóż, lekarka nie wykona za nią trzeciego zalecenia...

Connor poruszył się niespokojnie na łóżku.

Nad czym się zastanawiać? Ściągnie przepocone spodenki i już. To śmieszne zachowywać się jak uczennica, gdy jest się dojrzałą, rozsądną i seksualnie doświadczoną kobietą. Do licha, widywała już przecież nagich facetów. Straciła dziewictwo w wieku dziewiętnastu lat z Terryem Masonem, słodkim sztywniakiem. Nie miała zbyt wielu partnerów, choć jednak było co liczyć. Przy tym niektórzy byli nawet godni zapamiętania, choć zdarzyło się też kilka katastrof. Nieważne, była kobietą obytą, nie miała na tym tle kompleksów i nagość, swoja czy kogoś innego, nie była dla niej niczym nadzwyczajnym. Aż do tej chwili.

W porządku, Brody był dla niej kimś obcym, ale nie mogła pozwolić biedakowi cierpieć tylko dlatego, że doznała nagłego ataku skromności. Przecież nie było mowy o erotycznym podtekście, po prostu chciała zbić gorączkę, zanim dotrze Maya. Poza tym na pewno miał bieliznę, więc w czym problem?

Owszem, był problem. Przekonała się o tym, gdy tylko zajrzała pod spodenki. Natychmiast puściła gumkę, a Brody jęknął od uderzenia.

Uspokój się! - napomniała się surowo. Nie jesteś oferumą, dasz sobie radę.

Rozejrzała się za świeżą pościelą, bo ta, pod którą leżał, była przepocona. Nie zostawi przecież gołego Connora bez przykrycia. Sam nie był zbyt pruderyjny, o

czym świadczył jego bezczelny komentarz o biustonoszu, musiała więc być skromna za nich oboje.

Czystą pościel znalazła w kilka sekund w komodzie, za to rozkładała ją kilka minut. Po prostu oddalała to, co nieuniknione.

- Muszę ci zdjąć spodenki, bo są mokre. Connor, musimy zbić gorączkę - oświadczyła, siadając na skraju łóżka i szarpiąc go za ramię.

Mruknął tylko chrapliwie. Świetnie, więc nie ma co pytać o pozwolenie. Oby tylko nie pozwał mnie do sądu za molestowanie, pomyślała.

Zahaczyła palcami za gumkę, skromnie odwróciła głowę i pociągnęła. I poczuła opór. Nic, tylko zaklinowały się pod spodem. Hm... Wtedy Connor obrócił się na bok i spodenki zsunęły się do kolan.

Nie odwracaj się, nie patrz na niego! - powtarzała sobie w myślach, z odwróconym wzrokiem odganiając niechciane fantazje. Z ulgą odetchnęła, gdy udało się jej ściągnąć jeszcze niżej.

Connor znów coś mruknął.

Tyle że ten pomruk był inny, nie wyrażał bóleści, tylko zmysłowość...

Niemożliwe! Daisy, bądź poważna, znów się strofowała. To pacjent, umarłak, nie napalony facet. Tu nie ma cienia erotyzmu.

Tyle że jak na umarłaka był wyjątkowo sexy, ona zaś wyjątkowo pobudzona jak na siostrę miłosierdzia.

Spodenki zaplątały się wokół kostek. Im bardziej starała się je rozplątać, tym było gorzej.

Patrz w dół, na stopy, powtarzała sobie, lecz wzrok i tak sięgnął w zakazane rejony.

Ojejciu!

Brody, choć chory jak diabli, również jak diabli był napalony!

Przełknęła z trudem. Do tej pory uznawała, że wielkość nie ma znaczenia. Zmieniła zdanie, gdy ujrzała nagiego Connora Brody'ego. Co za okaz! A gdyby tak...?

Gwałtownie cofnęła rękę, spiekła raka. Przecież nie jest jakąś cholerną nimfomanką! A tu proszę, gapi się na obcego nagusa, chce go pieścić... Zwykle molestowanie godne sądu i więzienia.

Błyskawicznie przykryła Connora prześcieradłem, lecz pod cienką materią wszystko zaznaczało się wyraźnie, buchało erotyzmem.

Wreszcie do końca ściągnęła spodenki. Bezskutecznie próbowała zapomnieć o tym, co widziała. Gdy spojrzała wyżej, dostrzegła na biodrze niewielką bliznę niknącą pod pościelą.

Była przekonana, że Gary ma piękne ciało, mocne i proporcjonalne. Oczywiście on też tak uważał, tyle że przy Brodym był niczym Clark Kent przy Supermanie.

Po prostu Connor był super ekstra, bez dwóch zdań. Do tego właściwie go nie znała, czyli dochodziła ekscytująca nuta tajemnicy i ryzyka. Więcej, Connor był jakiś taki inny, jakby nie stąd... Co jeszcze zwiększało ekscytację.

Gdy rozległ się dzwonek do drzwi, Daisy zerwała się tak gwałtownie, że omal nie runęła na podłogę. Na ten rumor Connor jęknął i obrócił się na bok, mocno się przy tym neglizując. Daisy przykryła go nerwowo, wściekła na to, co się z nią dzieje.

Popędziła do drzwi wejściowych. W progu stała Maya Patel, jej przyjaciółka, a zarazem lekarz rodzinny. Zwykle zadbana i jak spod igły, teraz była rozczochrana i ubrana byle jak. Pod pachą trzymała czarną torbę.

- Oby wszystko było w porządku, Daze - oznajmiła natychmiast. - Na pewno wiesz, że nie wolno mi udzielać temu facetowi porady lekarskiej. Nie jest do mnie zapisany, więc mogłabym skończyć w sądzie, gdyby... Do licha, co z tobą?

Niby nic, po prostu zgłupiałam, pomyślała cierpko.

- To długa historia. - Prowadziła ją do chorego.

Im mniej Maya wie, tym lepiej.

- A tak w ogóle co to za facet?

- Mówiłam ci, mój nowy sąsiad. - I generator nimfomanii, dodała w myślach.

- Przyszłam spytać, czy nie widział Pana Pootlesa. Pogadaliśmy chwilę i nagle runął na podłogę - podała mocno okrojoną wersję.

- Aha... Przypomnij mi, jak się nazywa. - Maya usiadła na łóżku.

- Connor Brody.

- Connor, jestem doktor Patel. Przyszłam pana zbadać. - Dotknęła jego ramienia. Gdy nie zareagował, przesunęła rękę na czoło. - Rzeczywiście ma wysoką gorączkę. Jak długo jest nieprzytomny?

Daisy spojrzała na zegarek.

- Około piętnastu minut. - Zdziwiła się, że trwało to tak krótko. - Jak kazałaś, rozebrałam go i przykładałam zimne kompresy.

- Doskonale...

- Mogę na chwilę wyjść, jak będziesz go badać? Muszę dać znać Juno.

- Jasne, to nie potrwa długo. Wygląda na gripę żołądkową, grasuje paskudny wirus. Oczywiście zbadam go dokładnie, bo może to coś poważniejszego.

Daisy wymknęła się, oddychając z ulgą. Musiała unikać Connora Brody'ego. I tak dostarczył jej materiału na całe tygodnie fantazjowania.

- Oszalałaś?! - krzyknęła Juno, wychodząc z łazienki owinięta w ręcznik.

- Być może, ale i tak muszę wracać - odparła Daisy. - Jest chory, nie mogę go zostawić samego.

- Nic o nim nie wiesz! A co, jeśli jest niebezpieczny? Wciąż o takich piszą w gazetach.

- Niebezpieczny? Przecież zaopiekował się kotką pani Valdermeyer. Źle go oceniłam, to porządny facet. - Wyjęła z szafy ukochaną sukienkę, prostą, w różowe

kwiaty. - Gdy gorączka ustąpi, zostawię go. - Za nic nie będzie przy nim, gdy dojdzie do sił, skoro nawet chory Connor miał potężną siłę rażenia.

- Jest środek nocy, będziesz sama z obcym mężczyzną w jego mieszkaniu.

- Nic mi nie będzie. Mówiłam, to przyzwoity człowiek, poza tym jest nieprzytomny. No i powiedziałam Mai, że zaraz wrócę. Zapnij mnie. - Odwróciła się plecami do Juno.

Przyjaciółka zapięła suknię na zamek błyskawiczny, nadal gderając jak najęta. Daisy nie oponowała, tylko rozczesała włosy, skropiła się perfumami, założyła bransoletki. Jeszcze tylko makijaż i...

Wiedziała, dlaczego Juno widzi wszystko w czarnych barwach, dlaczego mrozi innych wilczym spojrzeniem, dlaczego nie tyle się ubiera, co wkłada pancerz. Kiedyś została dotkliwie zraniona, w ogóle nie ufała mężczyznom. Co za ironia, pomyślała Daisy. Juno ostrzega mnie przed Brodym, gdy tak naprawdę to mnie nie powinno się ufać...

- Czemu tak się stroisz? - atakowała Juno.

- Wcale się nie stroję! - obruszyła się, gdy jednak zerknęła w lustro, musiała przyznać rację przyjaciółce. Wyglądała, jakby wybierała się na gorącą randkę, a nie śpieszyła z samarytańską pomocą. Skonsternowana schowała szminkę do torebki. Do diabła, przecież nie stroiła się dla Brody'ego! Też pomyśl... Włożyła znoszone trampki, ignorując indyjskie sandały z koralikami, które zdążyła już wyjąć z szafki.

- Nie stroję się. Tak mi po prostu wygodniej.

- Jasne...

- Nie czekaj na mnie. Nie wiem, kiedy wrócę.

- Uważaj na siebie.

Gdy schodziła na dół, schody skrzypiały niemiłosiernie. Widziała łuszczącą się farbę i gipsową łataninę na ścianach. Dzięki temu czuła się w tym starym georgiańskim domu nad wyraz swojsko, mimowolnie jednak porównywała ruderę pani Valdermeyer z bezosobową, za to luksusową rezydencją Brody'ego.

Z ciężkim westchnieniem weszła do środka. Owszem, Connor był seksowny i działał na nią jak diabli... ale należeli do całkiem różnych światów. Ich ścieżki nigdy naprawdę się nie zejdą.

- Będzie się budził i zasypiał, póki nie spadnie temperatura - oświadczyła Maya. - Przemywaj go zimną wodą, a za cztery godziny podaj mu paracetamol.

- Jesteś pewna, że to nic poważnego? - Dla Mai, jak dla większości lekarzy, prawdziwe choroby zaczynały się od obustronnego zapalenia płuc.

- Jestem pewna, że poprawi mu się, jak tylko się wypoci. Ma prawie trzydzieści dziewięć stopni, ale to normalne. Gdyby temperatura wzrosła, zadzwoń, ale oddech ma w normie, jest młody i zdrowy. - Uśmiechnęła się. - Gdybym nie była tu służbowo, no i gdybym nie była mężatką z trojgiem dzieci, powiedziałabym, że to niezłe ciacho. - Przerwała na moment. - Ma za sobą ostre epizody, ale wyszedł z nich bez trwałych uszkodzeń, pozostały tylko blizny.

- Mówisz o tych bliznach na plecach?

- Tak. Wiesz może, jak się ich dorobił?

- Prawie go nie znam. Co o tym myślisz jako lekarz?

- Stare, zapewne z dzieciństwa. Nic więcej nie mogę powiedzieć. - Spojrzała uważnie na Daisy. - Wybacz wścibstwo, ale dlaczego się nim zajmujesz, skoro go prawie nie znasz?

- Hm... sąsiadka pomoc... jak ktoś choruje...

- Aha... Więc nie tylko ja zauważyłam, że to niezłe ciacho.

- Jest w porządku. - Daisy modliła się, żeby rumieniec nie zdradził jej do reszty.

- Gdyby gorączka nie ustąpiła, daj mi znać. I uważaj na swoją temperaturę. Być w jednym pokoju przez całą noc z takim przystojniakiem, i to nagim... Ciężkie zadanie. Ale na pewno dasz radę. - Mrugnęła i zniknęła wielce rozbawiona.

Daisy zamknęła drzwi i oparła się o nie. Nie dało się ukryć, że czekało ją ciężkie zadanie...

ROZDZIAŁ CZWARTY

Connora obudziło ostre poranne słońce. Zasłonił się ręką od światła, kontentując przy tym pozytywne zmiany. Młot w głowie przestał walić, mięśnie przestały drżeć, nie czuł się też już jak w saunie. Gdy oczy przywykły do światła, opuścił rękę, patrząc przez okno na stary kasztanowiec rosnący w ogrodzie.

Nie miał pojęcia, jak długo był nieprzytomny. Poczł zapach perfum, kwiecisty, ostry, erotyczny. Opanowały go wspomnienia minionej nocy. Ból, gorąco, trwoga... a zarazem kojące słowa, leczniczy dotyk dłoni...

Została z nim, jak to obiecała.

Lecz gdzie jest teraz? Rozejrzał się nerwowo, bliski paniki, i zaraz ją dostrzegł. Spała w fotelu zwinięta w kłębek. Uspokojony napawał się jej widokiem, wspominał, jak się nim opiekowała... i nagle poczuł się jak głupiec.

Zrobił z siebie ofiarę losu. Owszem, koszmary atakowały go we dnie i w nocy, zawsze znajdując chwilę słabości, ale już dawno nauczył się radzić sobie z nimi. Zresztą nie nękały go już tak często jak niegdyś. Miło z jej strony, że zaopiekowała się nim w gorączce, która sprowadziła z sobą rodzinne demony, ale już jej nie potrzebował.

Uśmiechnęła się przez sen.

Może nie potrzebował jej, ale przyjemnie było na nią patrzeć. Zmieniła ubranie, ten strój włamywaczki był żalorny. Pomarszczona letnia sukienka cudownie podkreślała figurę, niestety skrawek satyny widoczny przez głęboki dekolt, zapewne stanowiący komplet z majtkami, sprawiał, że kształt piersi był mniej widoczny.

Obfite rude włosy opadały w niesfornych puklach na ramiona. Gdy spojrzął na stopy Daisy, uśmiechnął się na widok niebieskich adidasów z jaskrawozielonymi sznurówkami.

Pasował do niej taki mieszany styl. Zapamiętał, że Daisy Dean była uparta i drażliwa jak cholera, a zarazem zaskakująco delikatna, gdy przemieniała się w siostrę miłosierdzia.

Zsunął nogi na podłogę i wstał, z zadowoleniem stwierdzając, że nie ma zawrotów głowy. Podobnie ustąpił ból gardła. Connor owinął się w pasie prześcierałem i uśmiechnął szerzej, gdy zobaczył swoje szorty starannie złożone na skraju łóżka. A więc rozebrała go. Ileż by dał, żeby być w tym momencie przytomny...

Była prześliczna nietuzinkową urodą. Owszem, niby preferował inny typ, ale jeśli chodziło o kobiety, słynął z elastyczności.

Jednak rodzące się w jego głowie fantazje przerwało uczucie wilczego głodu. Przypomniawszy sobie, że ostatnio zjadł tylko trochę ciasteczek, prezent od Dobrej Samarytanki, prywatnie dziewczyny z sąsiedztwa, czasami też włamywaczki.

Uśmiechnął się. Z wielką radością wziąłby ją na ręce i długo całował z wdzięczności, lecz oparł się pokusie. Nie jest barbarzyńcą, nie napastuje śpiących księżniczek.

Podszedł do drzwi balkonowych i zasunął zasłony, by nie obudziło jej słońce. Posprząta, zażegna pierwszy głód, dopiero wtedy ją obudzi. Zaproponuje śniadanie, zacznie dziękować... i może poczynią krok do przodu? Odniósł bowiem wrażenie, że panna Daisy Dean nie jest całkiem nieczuła na jego osobę.

Wyszedł z pokoju i zaczął cicho gwizdać. Był nieco słaby, prawdopodobnie z głodu, ale poza tym czuł się dobrze. Na dworze zanosilo się na kolejny upalny dzień, poranne słońce nadawało kwiatom w ogrodzie świeży blask. Mógłby zadzwonić do francuskich delikatesów po świeże ciastka i kawę, zjedliby śniadanie na tarasie.

Pragnął poznać tajemniczą Pannę Daisy Dean nieco lepiej.

Wszystkie stresy i napięcia ostatnich dni, i katusze ostatniej nocy ustąpiły, gdy skokami pokonał szerokie schody do sypialni. Był zdrow, znów czuł się sobą, czuł się jak dzieciak wypuszczony ze szkoły w pierwszy dzień wakacji.

Godzinę później, po gorącym prysznicu, gdy włożył ulubione znoszone dżinsy i koszulkę Boston Celtics oraz pochłonął dwa ostatnie ciasteczka, popijając gorącą kawą, zajrzał do pokoju gościnnego. Anioł nawet nie zmienił pozycji.

Connor wszedł do środka, ukucnął, by odsunąć z jej czoła pukiel, poczuł przy tym aromat perfum. Musnął ustami aksamitny policzek, z trudem powstrzymując się przed prawdziwym pocałunkiem.

Spała jak kamień, choć musiało być jej niewygodnie w tej pozycji. Po przebudzeniu będzie cała połamana. Powinna spać w łóżku, jak Bóg przykazał. Pościel jest świeża, położy się wygodnie. Przynajmniej tak może o nią zadbać.

Objął ją mocno i starannie, uniósł. Daisy mruknęła coś niewyraźnie, po czym wtuliła się w Connora, łaskocząc włosami jego twarz. Owionął go słodki zapach perfum. Była zaskakująco lekka, dlatego mimo osłabienia bez trudu przeniósł ją do sypialni. Kładąc ją pośrodku królewskiego łóża, dokładnie mógł się jej przyjrzeć. Zaskoczyło go, jaka jest drobna. Sporo poniżej metra sześćdziesięciu, szczuplutka... Ciekawe, że nie zauważył tego w nocy. Na pewno groźna mina sprawiła, że wydawała się wyższa i mocniej zbudowana.

Poruszyła się, zaciskając przez sen powieki. Connor podszedł do francuskiego okna.

- Gdzie jestem? - Daisy wsparła się łokciami na łóżku i patrzyła na niego nieufnie.

- Zmarzłaś. - Opuścił zasłony. - Pomyślałem, że lepiej ci będzie w łóżku.

- Hej, co pan wyrabia?

- Dzięki tobie jestem zdrów jak rydz. - By odegnąć jej niepokój, uśmiechnął się pogodnie, po czym usiadł na łóżku i pogłaskał ją po szyi. - Nie pamiętasz? Byliśmy na ty. Zresztą widziałaś mnie nagiego, więc oficjalne formy są raczej zbędne, nie uważasz?

Do diabła, coś tu się dzieje! - myślała zaniepokojona. Do diabła, naprawdę widziałam go nagiego. Do diabła, wygląda na to, że on też nie jest obojętny...

- Cieszę się, że już ci lepiej. - Próbowwała ignorować fakt, że w bliskości tego faceta przestawała logicznie myśleć. - Wybacz, padłam, ale to była długa noc. - Zerwała się z łóżka.

- Była... - To niewinne słówko zabrzmiało jak tajemnicza aluzja.

- Hm... Connor... Muszę lecieć. Na pewno już mnie nie potrzebujesz, więc...

Chwycił ją za ramię.

- Nigdzie nie pójdziesz, zanim ci nie podziękuję. - Hipnotyzujące błękitne oczy wpatrywały się w jej usta.

Rany, jak na nią to podziałało! Powinna wiać stąd, gdzie pieprz rośnie, jednak zamiast grzecznie się wymówić, spytała:

- Co masz na myśli?

Objął jej twarz.

- Może na początek to... - Powoli zbliżył wargi do jej warg.

Smakował kawą, czekoladą i ryzykiem. Zatopiła drżące palce w jedwabistych czarnych włosach, cała oddając się pieszczocie.

Connor przyciskał ją do siebie, głaszcząc dłonią jej plecy, wreszcie położył Daisy na łóżku, nakrył ją sobą.

Wiedziała, jest to szaleństwo, ale traciła nad sobą kontrolę. Wtedy usłyszała szmer zamka błyskawicznego.

- Jesteś piękna, Daisy Dean - szepnął miękko. - Pragnę cię naga. - Z kolei to zabrzmiało jak rozkaz.

Oddychała nierówno, gdy zsuwał suknię i rozpinał biustonosz. Powinna być oburzona, powinna go odepchnąć. Wmawiała sobie przez cały wieczór, że ten facet w ogóle jej się nie podoba, jednak przez tę chorobę i opiekę wytworzyła się między nimi więź, której już nie potrafiła zerwać.

Do tego dochodziło coś jeszcze.

Też chciała go nagiego. Chciała go w sobie.

I nagle wszystko nabrało tempa. Opory gdzieś znikły, Daisy ogarnęło radosne poczucie wolności.

Pomagając sobie nawzajem, pozbyli się ubrań. Radośni i euforyczni, przekomarzali się trochę, badając pieszczotami swoje reakcje i pragnienia.

Aż wreszcie, rozpaleni do granic możliwości, poszybowali w najgorętszą krainę seksu i rozkoszy.

- Było wspaniale, ty jesteś wspaniała - mruknął, głaszcząc ją po policzku.

Może zabrzmiało to banalnie, ale co miał powiedzieć? Gdyby nie leżał, toby padł. Nigdy w życiu nie miał potężniejszego i bardziej satysfakcjonującego orgazmu. Z uśmiechem spojrzał na Daisy.

Nie była radosna. Była zszokowana, zdumiona, przerażona.

- Boże, przepraszam - szepnęła. - Pójdę już...

Nie miał pojęcia, o co chodzi, ale będąc wciąż w jej objęciach nie wypadało przeklinać.

- Gdzie chcesz iść? - Kompletnie jej nie rozumiał. - Jeszcze dobrze nie zaczęliśmy.

- Nie ma czasu na więcej. - Jej policzki nabrały głębokiego odcienia purpury.
- Muszę iść, panie Brody.

Ryknął śmiechem, ona zaś, sztywna jak kłoda, wydymała buntowniczo wargę.

Kobiety. Cóż, niepojęty, odrębny gatunek. Ale czyż nie dlatego właśnie są fascynujące?

- Aniele... - Wpatrywał się z zachwytem w jej zwężające się źrenice. - Aniele, skoro ledwie skończyliśmy się kochać jak dwa króliczki, myślę, że dość dziwne będzie przechodzić na pan i pani...

ROZDZIAŁ PIĄTY

Czuła się upokorzona. Nie wiedziała tylko, czy bardziej była zła na siebie, czy na protekcyjnie zachowującego się Connora Brody'ego.

- Nie czuję się dobrze, mówiąc do ciebie po imieniu - burknęła, wiedząc, że robi z siebie pruderyjną idiotkę rodem z dziewiętnastego wieku. Lecz w jej przypadku sprawa nie była tak prosta.

Na szczęście Connor tym razem zdołał powstrzymać wybuch śmiechu.

- To może zadbam, żebyś poczuła się lepiej?

Miała ochotę zapaść się pod ziemię. Gdy oprzytomniała, wciąż czując Connora w sobie, uświadomiła sobie rzecz straszliwą. Uwiodła obcego mężczyznę. Mało tego, błagała, żeby się z nią kochał. Zachowała się jak nieodrodna córka Lily Dean, która przez całe życie czepiała się każdego faceta zdolnego dać jej przyzwoity orgazm. Dlatego właśnie ta sprawa nie była tak prosta.

Nie знаła Connora Brody'ego, on też o niej nic nie wiedział. Pewnie uznał, że należała do kobiet kopulujących jak króliczki przy każdej nadarzającej się okazji, choć prawda była taka, że jeszcze nigdy nikogo nie uwiodła.

A że przeżyła najwspanialszy w życiu orgazm? Tym gorzej... Jak głupia uwierzyła, że tworzy się między nimi prawdziwa więź, lecz w rzeczywistości wykorzystła Connora, by zaspokoić dziką żądzę, łamiąc złożoną sobie przed laty przysięgę, że nigdy nie pójdzie w ślady mamy, nie pozwoli, by żądze zapanowały nad jej życiem.

- Co się stało? Powiedz, coś wymyślimy.

Odwróciła się do niego. Ujęło ją czułe spojrzenie, za to rozjuszył pobłażliwy uśmiech. To okropne, że jej kryzys tożsamości tak rozbawił Connora. Za nic jednak nie pozwoli, by jakiś obcy facet przypatrywał się, jak ona załamuje się, pogrąża w czarnej depresji.

- Nic się nie stało. - Gdy nasunęła prześcieradło na piersi i poprawiła włosy, poczuła się nieco lepiej. Zawsze była kobietą czynu. Gdy tylko dostrzegła jakiś problem, od razu brała się do dzieła. Później znajdzie czas na analizę własnej rozpusty i nieodpowiedzialnego zachowania. Teraz musi wydostać się z tego domu, zanim coś jeszcze się stanie. Connor spojrzeniem sugerował chęć powtórki, ona zaś nie była pewna, czy może zaufać ciału, by nie przyjęło tego zaproszenia. Biorąc pod uwagę dotychczasowe koszty, akurat tego najmniej potrzebowała. - Może to trochę krepujące, ale proszę, podaj mi sukienkę. Muszę już iść. - Gdy nie poruszył się, sama po nią sięgnęła nad Connorem.

- Dlaczego tak się śpieszysz? Porozmawiajmy. Cokolwiek się stało, na pewno da się naprawić - powiedział ciepło, głaszcząc ją po włosach.

Wolałaby odgryźć sobie język, niż rozmawiać o uczuciach.

- Kochaliśmy się. Było świetnie. Dzięki za wspaniałe chwile, ale to już wszystko, co chcę powiedzieć. Aha, jeszcze tyle, że nie mamy z sobą nic wspólnego. - Zsunęła się z łóżka. - Było, ale już się skończyło. - Przekaz był jasny. Żałowała tego, co się stało, o powtórcie nie ma mowy. Wsunęła majtki, sięgnęła po leżący na podłodze biustonosz i schowała go do kieszeni sukienki.

- Zostawmy to tak, jak jest. - Znalazła jeden but, rozglądała się za drugim.

- Mówisz poważnie?

- Najzupełniej. - Z ulgą dostrzegła trampek wystający spod łóżka.

Patrzył na nią zdumiony. Kobieta dająca nogę po wspólnej nocy, to było dla niego całkiem nowe doświadczenie. Daisy rozumiała to doskonale, jednak nie zwracała sobie tym głowy. Miała własne problemy.

Gdy zsunął nogi na podłogę, prześcieradło też się zsunęło, ledwie zasłaniając to i owo.

- Nie wstawaj! - Pisnęła.

Nie chciała już go oglądać w całej okazałości. W ogóle nie chciała go widzieć. Pognała bosą, jakby gonił ją Zły Wilk.

Gapił się na otwarte drzwi. Daisy uciekła, jakby się paliło. Czyżby został wykorzystany? Cóż, następny przykry epizod związany z kobietami.

Gdy miał trzynaście lat, Mary O'Halloran dała mu w pysk przy całej klasie, bo wprowadzie ją pocałował, lecz później zapomniał zadzwonić.

Owszem, Mary miała rację, bo zachował się jak palant, i w sumie dobrze ją wspominał. Obiła mu głowę i po sprawie, co za ulga. Natomiast trajkotka Rachel... Ta to zalała mu za skórę! „Connor, musimy porozmawiać o naszym związku”. „Connor, musimy się zastanowić, dokąd wspólnie zmierzamy”. I tak bez końca. Na samo wspomnienie czuł ciarki.

Dobrze się więc stało, że Daisy nie chciała rozmawiać, nie analizowała tego, co wydarzyło się między nimi, choć wolałby, żeby została, bo wcale nie miał dość. Zaplanował dalszy ciąg tej przygody. Owszem, nie mieli przed sobą prawdziwej przyszłości, ale nie zamierzał już kończyć. To wszystko zdarzyło się tak nagle. Nic, nic... i nagle bum! Eksplozja seksu. Pewnie nie pasowali do siebie poza łóżkiem, ale w łóżku jak najbardziej. Daisy szalała tak samo jak on.

Może właśnie to ją spłoszyło? Daisy mogła być najbardziej pragmatyczną i zdecydowaną osobą, jaką kiedykolwiek spotkał, była jednak kobietą, a kobiety takie właśnie są: rozważają wszystko bez końca, martwią się, co oznacza wspaniały seks, zamiast się nim cieszyć.

Zaśmiał się. W sumie nie musi się czuć oszukany. Więcej, mała Daisy mogła się okazać idealną kobietą dla niego. Seksowna jak diabli, poemat wyuzdania po prostu, a przy tym wystarczająco bystra, by wiedzieć, że nie mają szans na prawdziwy związek. Musi tylko ją przekonać, że choć nie mają zamiaru spędzić z sobą reszty życia, to najbliższe dni, a nawet tygodnie mogą spędzić w wielkiej harmonii, robiąc razem to i owo, a szczególnie oddając się erotycznym zatrudnieniom.

Pójdzie do Daisy i zaprosi ją na śniadanie.

Pogwizdując „Molly Malone”, wszedł do łazienki.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Gdy po dwóch godzinach stał na progu domu Daisy, Connor nie był już taki radosny. Pod pachą trzymał pudło, z którego rozlegały się kocie wrzaski. Nacisnął dzwonek, niecierpliwie czekając, aż zobaczy Daisy i przynajmniej coś tego dnia pójdzie po jego myśli.

Złapanie kocicy i zamknięcie jej w pudle zajęło mu całą wieczność, przysporzyło przy tym malowniczych zadrapań. Lecz nie tylko kot nawalił. Zadzwoił spakowany architekt odpowiedzialny za paryski projekt. W rezultacie Connor musiał kupić bilet na Eurostara.

Gdy tylko odłożył słuchawkę, zadzwonił z Nowego Jorku równie rozdygotany Danny. Błagał, żeby Connor przyspieszył swój przylot o tydzień i ratował projekt Melrose'a. Nie dopuścił do kolejnej dyskusji o podstawionej narzeczonej, tylko obiecał, że prosto z Paryża polecą do Nowego Jorku.

Tak więc realizacja planów związanych z Daisy Dean odwlekła się o trzy tygodnie. Spojrzał na zegarek. Znał przytulną czterogwiazdkową restaurację w Notting Hill, gdzie mogliby wszystko omówić nad kieliszkiem pouilly fumé, a potem pojedzie taksówką na St Pancras International. Trzy tygodnie to szmat czasu, ale wytrzyma, jeśli coś konkretnego ustalą.

Ponownie nacisnął dzwonek. Do cholery, gdzie Daisy się podziewa? Była dziesiąta rano, sobota, a miała za sobą nieprzespaną noc. Musiała być w domu i odpoczywać.

Dostrzegł łuszczącą się farbę na drzwiach i podgniłe parapety, spojrzał na elegancki georgiański fronton. Niegdyś miał tu swoją rezydencję jakiś lord, lecz to przebrzmiała śpiewka. Daisy mieszkała w ruderze.

Connor wpadł na genialny pomysł. Poprosi Daisy, żeby w czasie jego nieobecności doglądała domu. Wprawdzie gdy Connor walczył z kotem, oddzwonił

pośrednik nieruchomości, lecz takie transakcje zawsze trwają całe miesiące, a jakże to frajda, gdy Daisy będzie na niego czekać w domu.

Drzwi otworzyły się gwałtownie.

- Czy ja śnię? Zmaterializował się nasz niewidzialny sąsiad! - Drobną staruszką odzianą w szlafrok z minionej epoki zlustrowała go bystrym spojrzeniem. - W końcu przyszedł się pan przedstawić? - zadrwiła.

- Nie wiem, czy rozmawiam z właściwą osobą - odparł sztywno. - Nazywam się Connor Brody. Przyniosłem kotkę należącą do gospodyni tej posesji. - Położył pudełko przed starszą panią.

Ze środka dobiegło charakterystyczne skrobanie. Blizny na dłoniach wciąż bolały

- Och! - Starsza pani złapała się za serce.

- Znalazł pan Pana Pootlesa - szepnęła przez łzy, pochylając się nad pudłem.

Oślupiały patrzył, jak staruszka bierze na ręce diabelską kocicę, która od razu zaczęła się do niej łąsić, natomiast na Connora łypnęła wrogo. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie, pomyślał.

- Jak ci się odwdzięczyc, młody człowieku? - Tuliła Pana Pootlesa jak ukochane dziecko. - Gdzieś go znalazł? Szukaliśmy go całe tygodnie.

- Zamieszkał w mojej kuchni, ale musi pani wiedzieć, że jest ich więcej.

- Hm?

- Jedenaście dni temu Pan Pootles został mamą. Cała czwórka jest u mnie.

- Czwooro... - Staruszka zachichotała. - Ty niegrzeczny kocurze. Dlaczego mi nie powiedziałeś, że jesteś dziewczynką?

- Proszę. - Podał jej zapasowe klucze. - Może pani w dogodnej chwili zabrać kotki, choć myślę, że zbyt długo nie powinny przebywać same.

- To miło z pana strony.

- Są w spizarni przy kuchni. Czy Daisy jest w domu?

- Zna pan Daisy?

- Oczywiście. Jesteśmy przyjaciółmi. - Nie skłamał. To, co zaszło rano, z pewnością uczyniło z nich przyjaciół, bo jakżeby inaczej?

- Hm... przyjaciele? A tak gada na pana...

- Słucham? - Do wczoraj się nie znali, więc co mogła o nim gadać?

- Jest taka skryta. - Staruszka uśmiechnęła się znacząco, powiększając zamęt w jego głowie. - Czasami mi się zdawało, że coś do pana czuje, bo ciągle o panu mówiła, żadnych konkretów... A tu proszę, przyjaciele! Tyle że musiał pan coś przeszkrobać, bo tak na pana gadała...

- To znaczy co?

- No, niezbyt miłe rzeczy. Że jest pan zbyt bogaty i zapatrzony w siebie, by przejąć się kotem. Co za okropne oskarżenie! - krzyknęła ze zgrozą. - Ale przecież to nieprawda.

A więc obgadała go, zanim się spotkali. Zawsze tak było. Ludzie, którzy w ogóle go nie znali, mówili, że nic z niego nie będzie. Że pójdzie w ślady ojca. Lekceważył taką gadaninę, jednak słowa Daisy go zabolowały. A przecież nie powinien przejmować się gadaniną głupiej Angielki.

To dlatego związała? Nie był dla niej dość dobry?

- Chciałem z nią porozmawiać.

- Jest z Juno w Odjechanych Ciuchach.

- Gdzie?

- Mają stoisko na targu przy Portobello. Nie wie pan? Przecież się przyjaźnicie. - Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Tak, oczywiście. - Ulica Portobello była w pobliżu.

Odnajdzie Daisy i przemówi jej do słuchu.

- Panie Brody, jak ja panu oddam te klucze?

- Proszę się nie martwić. Przydadzą się.

Pomachał ręką na pożegnanie i zbiegł na chodnik. Idąc w stronę targu, dopracowywał strategię. Pomysł był bezwstydnym, zwłaszcza mając w pamięci poranne

zachowanie Daisy, zamierzał jednak dać nauczkę głupiej Angielce. Po tym, jak go potraktowała, nie zasługiwała na nic innego, jak tylko na zemstę.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Nic dziwnego, że jesteś zmęczona. Nie musiałaś się nim opiekować przez całą noc. Założę się, że nawet ci nie podziękował.

- Zachował się uprzejmie. - Pomyślała, jak jej podziękował, i poczuła, jak się rumieni. Natychmiast schowała się za półkę z bawełnianymi sukienkami, mając nadzieję, że Juno nie zauważy.

- Czemu się czerwienisz?

- Co ty. Po prostu układam sukienki według rozmiarów. Przecież wiesz, jak wciąż się mieszają. - Pokazała czternastkę wyjętą spośród ósemek.

- Daze, stało się coś, o czym powinnam wiedzieć? - Juno podeszła bliżej. - Jeśli ten facet cię skrzywdził, możemy o tym porozmawiać. Przecież wiesz.

Współczucie Juno sprawiło, że zażenowanie Daisy zmieniło się w poczucie winy, a rumieniec przybrał na intensywności. Ledwie uciekła z domu Connora, atak paniki minął. Daisy nie rozumiała swojego zachowania. Dorosłym wolnym ludziom zebrало się na seks, co w tym dziwnego? Miły incydent bez żadnych konsekwencji. Owszem, Connor to prawdziwe ciacho, ale na pewno się w nim nie zakocha, bo jest zaprzeczeniem tego wszystkiego, czego ona potrzebuje. A potrzebuje miłego, spokojnego, ustatkowanego, przeciętnego faceta.

Zatem to, co się tak nagle stało, nie oznacza, że poszła w ślady matki. Błąd matki nie polegał na tym, że goniła za dobrym seksem. To przecież nic złego. Niestety matka, gdy już dogoniła dobry seks, była przekonana, że tym samym odnalazła mężczyznę swoich marzeń. A nawet najwspanialszy seks nie ma nic wspólnego z miłością.

Daisy odetchnęła z ulgą.

Dręczyło ją jednak co innego. Nim poznała Connora, wygadywała o nim okropne rzeczy. Nic dziwnego, że Juno podejrzewała go o najgorsze, skoro konsekwentnie niszczyła jego dobre imię.

I to na jakiej podstawie? Żadnej! Potępiła go za to, że jest bogaty i przystojny. A także za to, że od pierwszego wejrzenia go zapragnęła, co bardzo ją rozeźliło.

Na koniec włamała się do niego, traktując niczym kociego zabójcę. By mu to wynagrodzić, opiekowała się nim w chorobie, a na koniec uwiodła i związała, brutalnie niwecząc jego starania, by ją uspokoić. Musiał uznać, że jest rąbnięta, czemu zresztą trudno się dziwić. Winna mu jest przynajmniej przeprosiny... Z zadumy wyrwała ją Juno:

- Daze, naprawdę zaczynam się martwić. Powiedz, co ci zrobił. - I zakończyła mściwie: - Już ja dopilnuję, żeby zapłacił za swoje.

Uśmiechnęła się na myśl o starciu Connora z jej przyjaciółką. Skoro Daisy w pełni zasłużyła na określenie „mała”, to jak nazwać sporo od niej niższą Juno?

- Nic mi nie zrobił. Jeśli już, to ja jemu. Facet jest całkiem miły. - Miły? Co za nijakie określenie, ale Juno powinno wystarczyć. Daisy obeszyła stragan, stanęła przy starej kasie i zaczęła odwijać ruloniki z bilonem.

- Więc co mu zrobiłaś? - Juno wzięła rulonik z pięciopensówkami.

- Gadałam głupoty o nim. Przecież wiesz, że wciąż nadawałam na niego, a to wszystko stek bzdur - wyznała ze wstydem.

- Myślisz, że go to obchodzi? - zadrwiła Juno. O przystojniakach zawsze myślała jak najgorzej, próbując zarazić tym Daisy.

- Mnie obchodzi.

- Powiedziałaś tylko, że jest bogatym i aroganckim Wielkim Złym Wilkiem. Co w tym straszego?

- Owszem, jest bogaty, sądząc po domu, ale na pewno nie jest arogancki. - Wspomniała, jak budził ją półprzytomną pocałunkami, jak narzucił ostry, gwałtowny seks... - No, może trochę, ale na pewno kobiety padają u jego stóp.

- Nie daje mu to prawa do wykorzystywania...
- Nie wykorzystał mnie. Wszystko się działo za obopólną zgodą.
- Zaraz... co się tam właściwie stało? Nie byłaś tylko siostrą miłosierdzia?

Spałaś z nim?!

Jak wyjaśnić Juno tak trudnią i skomplikowaną sprawę? Jednak nim cokolwiek zdołała powiedzieć, zadudnił nad nimi niski głos obdarzony irlandzkim akcentem:

- Dzień dobry paniom.
- Och... dzień dobry. - Daisy zadrżała.

Connor był czarujący, wprost tryskał humorem, a uśmiech, który już tak dobrze poznała, był niesamowicie zmysłowy.

- Przepraszam, że przerywam tę fascynującą pogawędkę. Czy można cię prosić na słówko, Daisy?

- Daisy jest zajęta! - Juno ujęła się pod boki. - Spadaj.

- Kim pani jest? - Rozbawiony spojrział na nią z wysokości. - Kuratorką Daisy?

- Może i tak! A kim, do cholery, jest pan, panie Wielki...

Daisy gwałtownie zasłoniła dłonią usta przyjaciółki.

- W porządku, Ju. To moja sprawa. - Tylko brakowało, żeby Brody się dowiedział, co o nim paplała po całej dzielnicy. Przepraszam i tak będą ciężką przeprawą, nie ma powodu, by Juno jeszcze utrudniała sytuację. - Mogę wyskoczyć na pół godzinki? Potem ci wszystko wyjaśnię.

- Dobra, ale jak nie wrócisz o czasie, zawiadamiam policję. - Juno łypnęła groźnie. - I sama ruszę na poszukiwania!

Daisy spojrzała na Connora

- Znam kawiarnię w Cambridge Gardens. Robią wspaniałe cappuccino. - Wybrała to zaciszne miejsce, by bez świadków przebrnąć przez upokorzenie.

Po pięciu minutach weszli do kawiarenki, którą prowadził Gino. Daisy była nieludzko zdenerwowana, dlatego przez całą drogę w ogóle się nie odzywała. Śmieszne. Trzy godziny temu przeżyła z Connorem prawdziwe trzęsienie ziemi, a teraz bała się spojrzeć na sprawcę tego orgazmu.

Wsunęła się za stół i położyła przy sobie torbę, by Connor nie mógł usiąść obok. Zajął więc miejsce naprzeciwko i oparł ręce o stół. Naszywka z logo Boston Celtics marszczyła się na jego klatce piersiowej.

Nie patrz tam, głupia, strofowała się. Mało ci kłopotów?

Gestem ręki pozdrowiła stojącego za barem Gina.

- Chcesz cappuccino? - spytała Connora, uparcie patrząc w kierunku baru.

- Przede wszystkim chcę, żebyś spojrzała na mnie - odparł chłodno. - No, lepiej. Aż tak źle wyglądam?

- Panie Bro... Connor... - Miała wątpliwości, czy zdoła przebrnąć przez te przeprosiny. - Muszę ci coś powiedzieć. To, co... - Zacięła się kompletnie.

- Cześć, skarbie. Daisy, co bierzesz? Jak zwykle? - spytał Gino.

- Nie, dzisiaj bez muffinki. - Pewnie by się nią zadławiła. - Tylko latte, nie za dużo pianki.

- Jak zawsze, kochanie. A ty, kolego, czym się trujesz?

- Espresso.

- Się robi. A tak przy okazji, Gino Jones. Jestem właścicielem tego lokalu. - Wyciągnął dłoń do Connora. - Jeszcze pana tu nie widziałem. Jak się pan nazywa?

Daisy patrzyła skonsternowana. Zapomniała, jak bardzo wścibski potrafi być Gino.

- Connor Brody. Przeprowadziłem się tu kilka tygodni temu. Mieszkam obok Daisy.

- Ale nie jest pan tym tumanem, który...

- Trochę się śpieszymy, Gino - przerwała barmanowi, rzucając mu spojrzenie pod tytułem: „Zamknij się, kretynie!”. - Ju została sama na stoisku.

- Spoko, spoko. - Gino dla odmiany posłał jej spojrzenie pod tytułem: „I tak czeka cię przesłuchanie”. - Zaraz przyniosę kawę.

Oddalił się pośpiesznie.

- Wiesz, to dość komiczne - odezwał się Connor, choć wcale nie był rozba-
wiony - ale miejscowi niezbyt mnie lubią. Może wiesz, dlaczego tak się dzieje?

Daisy poczuła się jeszcze gorzej. Najwyższa pora na przeprosiny!

- Connor, fatalnie się zachowałam. Wdarłam się do twego ogrodu, oskarżając
cię o... - Tylko nie to, że zamordował kota! - Obwiniałam cię, że nie szukałeś Pana
Pootlesa. Ponadto zmusiłam cię do seksu, a potem uciekłam bez pożegnania. Po-
twornie mi wstyd. Postąpiłam okropnie. Wybacz. Chciałabym to jakoś naprawić.

Wysłuchał jej z kamienną twarzą, potem milczał czas jakiś. Daisy nie wie-
działa, co z sobą zrobić. Założyła nogę na nogę, splatała i rozplatała dłonie.

- Hm, to sporo grzechów masz do naprawienia - oznajmił wreszcie Connor.

- Wiem... - mruknęła ze skruchą.

- Jednego nie rozumiem.

- Tak?

- Dlaczego uważasz, że mnie zmusiłaś do seksu? - Ujął jej dłoń. - Czy wyglą-
dałem na takiego, co to się opiera?

- Nie. To nie tak. - Jak to się stało, że przeszli do tego tematu? - Tylko... na-
rzucałam się i nie bardzo miałeś wybór...

- Dałaś mi wybór, a ja wybrałem, i to z wielką radością. - Delikatnie masował
jej dłoń, co faktycznie było wyrafinowaną pieśczęcią.

Gino chrząknął, po czym postawił kawy.

- Smacznego. - Spojrzał podejrzliwie na Daisy. Dlaczego trzymali się z Con-
norem za ręce? Jakby byli sobie bliscy... Zadumany poszedł sobie.

Cofnęła rękę i objęła kubek z kawą. Byle dalej od niebezpieczeństwa.

- Cieszę się, że nie jesteś na mnie zły.

- Nie jestem zły, że się kochaliśmy, tylko wręcz przeciwnie. Było wspaniale, tobie chyba też, prawda? Jednak powinnaś mi coś wyjaśnić.

- Tak?

- Dlaczego uciekłaś?

- Nie wiem. - Przecież nie powie mu o kompleksie matki. - Wiem tylko tyle, że to wszystko mnie przerosło. Nie mam zwyczaju wskakiwać obcym facetom do łóżka.

- Dobrze wiedzieć.

- Cieszę się, że sobie to wyjaśniliśmy. - Wypiła duszkiem kawę i sięgnęła po torbę. - Powinniśmy żyć w zgodzie, zwłaszcza że jesteśmy sąsiadami. - Co jeszcze bardziej pogarszało i tak niełatwą sytuację. Jak mieszkać blisko nieustającej pokusy? Wstała, wyciągnęła rękę na pożegnanie. - Na razie. Kawy na mój rachunek. Poproszę Gino, żeby je dopisał.

- Siadaj, jeszcze nie skończyliśmy. - Przytrzymał jej dłoń.

- Nie?

- Owszem, wyznałaś swoje grzechy - oznajmił surowo - ale gdzie zadośćuczynienie?

- Co? - Usiadła mocno zdetonowana.

Do czego on zmierza?

- Zadośćuczynienie. - Puścił jej dłoń. - Powiedziałaś, że chciałabyś naprawić swoje winy. Musimy to zrobić teraz, bo mam niewiele czasu. Za godzinę wsiadam w Eurostara i jadę do Paryża. Będę tam osiem dni, potem lecę na dwa tygodnie do Nowego Jorku.

Dzięki Bogu, pomyślała z ulgą. Nie miała pojęcia, po co spowiadał się jej ze swojego terminarza, ale przynajmniej zyskała trzy tygodnie spokoju.

- Na pewno wspaniale spędzisz ten czas. Będę tęskniła - dodała ironicznie, choć ze zdziwieniem odkryła, że taka była prawda.

- Nie natęsknisz się - odparł ze zbójckim uśmiechem. - Bo będziesz na mnie czekała w Nowym Jorku.

- Co?!

- Chcesz naprawić szkody, więc daję ci na to szansę. Muszę przez te dwa tygodnie być z moją dziewczyną w Nowym Jorku. To ma związek z pewnym biznesem. Tą dziewczyną będziesz ty.

- Oszalałeś?! Nie wybieram się do Nowego Jorku! Zamierzałam w ramach ekspiacji upiec następny talerz ciasteczek, to wszystko. Nie polecę na dwa tygodnie do Nowego Jorku jako twoja fałszywa narzeczona. Wybij to sobie z głowy! Albo idź do psychiatryka. - Urwała na moment, uspokoiła się nieco. - Nawet gdybym chciała tam lecieć, to i tak bym nie mogła. Mam stoisko.

- Jeśli twoja ochroniarka sama sobie nie poradzi, możesz zatrudnić pomoc. Opłacę wszelkie koszty. Mój asystent ustali szczegóły twojej podróży. - Spojrzał znacząco na zegarek.

- Brody, nie słuchasz mnie. Nie jadę. Musisz znaleźć kogoś innego. - Dwa tygodnie sam na sam z nim w Nowym Jorku. Poznała już nieodparty urok Connora.

Do diabła, facet tak na nią działał, że przemieniała się w lubieżną kocicę!

- Aż tyle to nie jestem ci winna.

- Ależ jesteś, Daisy Dean. To przez ciebie pół Londynu wie, że jestem samolubny, arogancki i nie można mi ufać. Prawnicy nazywają to zniesławieniem. Są na to konkretne paragrafy.

- Och... - Pobladła gwałtownie.

Jakim cudem dowiedział się o jej kalumniach?

- Jeśli nie chcesz, żebym zlecił tę sprawę adwokatowi, po prostu wsiądź do tego samolotu. Aha, co to za wyrażenie „fałszywa narzeczona”? - spytał ostro, łapiąc ją za podbródek.

- Nie jestem twoją dziewczyną. Wcale cię nie kocham... - jak dziwnie to zabrzmiało - a teraz to nawet nie lubię.

- Nie rób głupstw. - Przez jego twarz przemknął cień. - Miłość nie jest potrzebna do tego, o czym myślimy. - Przypieczętował swoją przemowę długim pocałunkiem, któremu nie była w stanie się oprzeć. - Lubisz mnie, Daisy. Wiemy o tym oboje.

Szarpnęła się do tyłu, wściekła i upokorzona.

- Oprowadzę cię po Manhattanie, naprawdę warto. Możesz spędzić te dwa tygodnie sama w łóżku albo lepiej wykorzystać czas. Twój wybór. Do zobaczenia w Nowym Jorku, aniele.

Co za drań! Jak śmiał ją tak wyrolować? Arogant, facet z ego wielkości Manhattanu. Jeśli myśli, że będzie tańczyć, jak jej zagra, to bardzo się myli. A spać z nim na pewno nie będzie!

Hm... Akurat z dotrzymaniem tego postanowienia mogą być niejakie kłopoty...

ROZDZIAŁ ÓSMY

Gdy Daisy wróciła po pracy do domu, była przekonana, że albo jej się to wszystko przyśniło, albo padła ofiarą głupiego żartu. Niemożliwe, Connor naprawdę próbował zmusić ją do lotu za Atlantyk. Przecież jest przyzwoitym facetem, a nie jakimś szantażystą.

Padła ze zmęczenia. Prawie bezsenna noc, dziesięć godzin na stoisku, i pozostałe zdarzenia... Najlepiej zapomnieć o tym żalnym incydencie. O szantażu nie powie nawet Juno. Na pewno żartował, więc po co zawracać jej głowę?

Zerknęła przez okno na dom Brody'ego. Ciemno. Jest w Paryżu. Uff.

Położyła się i spojrzała na sufit. Zimą namalowała na nim bajkową postać, ciemnowłosego cherubina o błękitnych oczach, który teraz patrzył na nią z księżycowego promienia, przypominając o czymś, o czym wolałaby zapomnieć.

Niedziela i poniedziałek przeleciały jak z bicza trzask. Daisy sprzedawała na targu, prowadziła w domu kultury zajęcia z sitodruku, projektowała nowe odjazdowe ciuchy, pomagała w przygotowaniach do karnawału w Notting Hill.

Tak jak przypuszczała, Connor nie odzywał się. Pojawiał się tylko w erotycznych snach, ale poza tym odpływał w zamierzczłą przeszłość.

- Daisy, otwórz! - Do drzwi pukała rozemocjonowana pani Valdermeyer. - Jest do ciebie paczka. Przesyłka specjalna.

Daisy z trudem otworzyła oczy. Spojrzała na zegarek i ziewnęła. Załedwie siódma. Gdy otworzyła drzwi, gospodyni uroczyście wniosła pakunek w brązowym papierze i położyła go na łóżku.

- Niesamowite, co? - Klasnęła rozemocjonowana. - To od tego przystojnego młodzieńca z sąsiedniego domu.

- Aaaa... - Daisy stłumiła ziewnięcie.

- Co się dzieje? - spytała zasnana Juno, stając w drzwiach.

- Daisy dostała paczkę od wielbiciela. Chodź, Juno, popatrzmy, jak będzie otwierać. - Usiadła na łóżku i gestem przywołała Juno.

- Jakiego wielbiciela? - spytała Juno, zasiadając jak na widowni. - A, tego... - skomentowała drwiąco.

- Juno, nie bądź taka grubiańska - ofuknęła ją pani Valdermeyer. - Jest bardzo przystojny i ocalił Panią Pootles od losu gorszego niż śmierć. Daisy mogła trafić gorzej. Boże, już raz tak trafiła. Pamiętasz tego okropnego Gary'ego?

- Trudno go zapomnieć, ale ten facet wcale nie jest lepszy.

- Z wyglądu na pewno - odparła gospodyni.

- Nie chodzimy z sobą, pani Valdermeyer, zatem nie trzeba...

- Och, kochanie, co ty opowiadasz! Miły, przystojny, bystry... szukasz czegoś więcej? Na pewno nie znajdziesz. Aha, do tego nadziany. To bardzo się przydaje, kiedy namiętność już zniknie.

Daisy zajęła się paczką, by wyciszyć tę krępującą konwersację. Rozwiązała sznurek, odwinęła papier, uniosła pudełko... Oby w środku nie było stringów czy czegoś w tym stylu... Jednak z pudełka wypadły trzy koperty i wąskie, aksamitne pudełeczko.

- Jakież to cudowne! Bizuterią należy się delektować w odpowiednich warunkach. Otwórz to - poleciła pani Valdermeyer, podając jej koperty.

Daisy zdumiała się niepomierne, Juno patrzyła na nią z marsową miną, natomiast gospodyni szalała z radości. W kopertach były: bilet powrotny do Stanów, wylot w niedzielę o dwunastej, terminarz podróży podpisany przez niejaką

Caroline Prestwick oraz złota karta na nazwisko Daisy.

Drżącą ręką wzięła pudełeczko, do którego od spodu przyklejono jeszcze jedną kopertę. Popatrzyła bezmyślnie na litery układające się w jej nazwisko, wreszcie wyjęła kartkę z teksturowanego papieru firmowego Brody Construction.

Gdy zerknęła na tekst, zadrżała.

Aniele,

błyskotki znalazłem w sklepie w Paryżu i pomyślałem, że ci się spodobają. Cokolwiek jeszcze potrzebujesz, skorzystaj z karty wedle potrzeby. Chcę, żebyś wyglądała stosownie do okazji.

Na lotnisku będzie czekał na Ciebie samochód. Do zobaczenia w Waldorf Astorii.

Connor

PS Gdybyś się nie pojawiła, numer adwokata mam w szybkim wybieraniu.

- Jakież to romantyczne - rozmarzyła się pani Valdermeyer. - Dwa tygodnie w hotelu Waldorf Astoria i złota karta kredytowa. Daisy, czekają cię wakacje życia.

- O co chodzi z tym adwokatem? - spytała Juno.

- Nie jadę. - Otrząsnęła się z entuzjazmu gospodyni.

Owszem, jak dotąd najdalej była w Calais, i to z wycieczką szkolną, więc ten wyjazd jakby spadł jej z nieba... ale nie mogła. A tak w ogóle, to co to znaczy: „Chcę, żebyś wyglądała stosownie do okazji”? Jakby była jego laleczką! Co za bezczelność.

- Ależ jedziesz, kochanie, nie rób głupstw - odrzekła gospodyni.

- Absolutnie nie powinna! - oznajmiła gromko Juno. - Będzie zdana na jego łaskę...

- Przestań, Juno, a najlepiej wyjdź. Muszę porozmawiać z Daisy na osobności. - Pani Valdermeyer wypchnęła ją za próg i zatrzasnęła drzwi. - Biedna ta Juno, ani krzty romantyzmu. - Usiadła obok Daisy. - Ale już nam nie przeszkodzi, więc możemy zająć się tym, co naprawdę ważne.

- Nie rozumie pani. Nie ma w tym nic z romantyzmu. Zależy mu tylko na tym, bym przez jakiś czas udawała jego dziewczynę. Ma to związek z biznesem, choć nie znam szczegółów - zakończyła z goryczą. Tak mało obchodziła Connora, że nie uchylił jej choćby rąbka tajemnicy.

- Możliwe, że mu się tak wydaje, ale sędzę, że chodzi o coś więcej.

- Akurat! - prychnęła, powstrzymując łzy.

- Kochanie, mężczyźni nie zapraszają kobiet w podróż pierwszą klasą do Nowego Jorku z opłaconymi wszystkimi kosztami tylko z powodu interesów.

- Nie zaprosił, tylko kazał. Pewnie liczy na to, że inwestycja mu się zwróci, gdy dopnie ten swój biznes... i osiągnie całkiem prywatne korzyści.

- Łobuz, co? Zupełnie jak Jerry, mój trzeci mąż. - Pani Valdermayer zachichotała. - Ale jak już go usidlisz, lepszego nie znajdziesz i w łóżku, i poza nim.

- Nie chcę go usidlać. W ogóle nie chcę się angażować.

- Kochanie, podchodzisz do tego zbyt serio. Przecież to tylko wspaniała przygoda, nic więcej, a miałaś ich zbyt mało, by przepuszczać taką okazję.

- I tu się pani myli - fuknęła Daisy. - Miałam wystarczająco wiele przygód, zanim tu się wprowadziłam, starczy mi na całe życie.

- Nie, nie miałaś. To były przygody twojej matki, więc się nie liczą. Ta będzie twoja. Polecisz za ocean używać życia i cieszyć się każdą chwilą, a o miłości pomyślisz później.

- Hm, myślę...

- Za dużo myślisz. Spróbuj raz inaczej, zdaj się na uczucia. Radzi ci to stara kobieta, która swoje przeszła. Masz całe życie przed sobą, zdasz się być ostrożna i odpowiedzialna, kiedy założysz rodzinę. Tak powinna była postąpić twoja matka... Och, spotkasz jeszcze odpowiedniego faceta na męża i ojca twoich dzieci, i takie życie nie będzie nudne, zapewniam, ale teraz korzystaj z młodości, urody i temperamentu. Uwierz mi, powinnaś swoje nagrzeszyć, by w przyszłości zostać porządną żoną i matką. - Uśmiechnęła się. - No, pokaż wreszcie te świecidełka od przystojnego łobuza.

Daisy westchnęła ciężko. Skłamałaby, gdyby oznajmiła, że nie jest ciekawa tych „świecidełek”...

Uniosła wieczko i na widok szmaragdów wiszących na siateczce srebrnych łańcuszków serce podeszło jej do gardła. Dotknęła drogocennych kamieni. Wyobraziła sobie, jak ten piękny naszyjnik zdobi balową suknię, mieniąc się tysiącami światełek, poczuła objęcia Connora, który patrzy na nią z podziwem...

Gwałtownie zamknęła pudełeczko, ale oszołomione serce podpowiadało jej, że już za późno, by odsunąć od siebie śmieszne marzenie.

L R

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

O ile do chwili otrzymania paczki czas pędził jak szalony, o tyle od tego momentu włókł się niemiłosiernie. Gdy tylko Daisy zrozumiała, że albo poleci do Nowego Jorku, albo spędzi resztę życia na zastanawianiu się, ile straciła, postanowiła wykorzystać okazję jak najlepiej, zachowując przy tym czujność, bo Bóg tylko jeden wie, jakie jeszcze niespodzianki mógł przygotować Connor Brody.

Jak to ona, z miejsca zajęła się praktyczną stroną przedsięwzięcia. Zaangażowała Jacie do pracy na stoisku, skończyła tyle ubrań, ile mogła, zmieniła harmonogram zajęć wolontariatu, a każdą wolną chwilę poświęcała na przygotowywanie garderoby. Chciała fantastycznie wyglądać, niezależnie od tego, czy pakowała się w największą przygodę swojego życia, czy też w największą porażkę. Miała swój charakterystyczny styl i czy się to spodoba Connorowi, czy nie, ubierze się wedle własnego gustu.

Kreśląc wykroje, tnąc tkaniny, szyjąc, plisując i obrębiając, obmyślała strategię. Cokolwiek będzie się dziać w Nowym Jorku, zawsze musi jasno i rozsądnie oceniać sytuację. Jej życie, kariera, nadzieje i marzenia nie mogły zależeć od dwóch tygodni w Mieście, Które Nigdy Nie Zasypia, spędzonych w towarzystwie seksownego jak diabli faceta. Seksownego, i tak naprawdę niewiele więcej, jak go oceniała. Owszem, bystry, owszem, sympatyczny, ale samolubny przy tym i arogancki. Czyli męska szarzyzna. Jeśli będzie się kontrolować i nie popadnie w złudzenie miłości, wszystko ułoży się doskonale.

Choć nakazała sobie dystans i spokój, gdy w niedzielę rano zajechał czarny mercedes z kierowcą w liberii, nerwy dały o sobie znać. Szofer włożył walizkę do bagażnika, Daisy pożegnała się z gospodynią i Juno, po czym opadła na skórzaną kanapę. I nagle otoczyła ją aura bogactwa, zaszczytów i przywilejów, przez co niepokój jeszcze się zwiększył. Opuściła szybę, pomachała przyjaciółkom... i samochód ruszył. Jedyne dom, jaki miała w życiu, zniknął jej z oczu.

A przed nią jeden wielki znak zapytania. Poprawiła obcisłą, skośnie uciętą sukienkę, którą skończyła poprzedniego wieczoru. Może pakuje się w największą głupotę w swym życiu, ale przynajmniej popełni ją w odpowiednim stylu.

Daisy nigdy nie zazdrościła sławnym i bogatym. Z radością kontentowała się tym, co zdobyła ciężką pracą. Miała dach nad głową, nie głodowała, stać ją było na drobne przyjemności, a wszystko to zawdzięczała sobie.

Gdy jednak wysiadła z limuzyny na Park Avenue przed wykończonym w stylu art déco frontonem hotelu Waldorf Astoria, musiała przyznać, że bogactwo nie się z sobą pewne korzyści.

Dla kogoś, kto dotąd wybierał się tylko na krótkie wycieczki, podróż przez Atlantyk, i to w biznes class, była niczym sen. Płynęła nad chmurami, sącąc szampana i jedząc wspaniałe przekąski. Po prostu już w górze zaczęła się cieszyć przygodą swojego życia.

Rozmyślenia przerwał głos odźwiernego

- Madame, proszę oddać to recepcjoniście. Pani bagaż zaniemiemy do pokoju.
- Wręczył jej niebieski bilecik.

- Dziękuję. - Wyjęła z portfela dziesięciodolarowy banknot.

- Madame, proszę nie dawać napiwków. Jest pani gościem pana Brody'ego, o wszystko się zatroszczył.

- Och... - Owszem, pomagała Brody'emu w biznesie, więc coś się jej za to należało, ale niemożność wręczenia napiwku upokarzała ją. Jakby była utrzymanką, kokotą... Na siłę wcisnęła boyowi banknot.

Rozejrzała się wokół. Skórzane kanapy, sklepienia sufitu, ciemna boazeria i bogato zdobiony stojący zegar sprawiały, że pensjonat i Portobello Road stały się odległe o lata świetlne.

- Czym mogę pani służyć? - spytała ją recepcjonistka o perfekcyjnym makijażu i jeszcze bardziej perfekcyjnym uśmiechu.

- Nazywam się Daisy Dean. Pan Connor Brody zarezerwował dla mnie pokój.
- Przynajmniej powinien był zarezerwować osobny apartament. Nie zakładał chyba, że będą z sobą sypiać. To byłby szczyt bezczelności!

- Ma pani z panem Brodym wspólną rezerwację w apartamencie Towers.

- Jest pani pewna? - nerwowo spytała Daisy.

- Oczywiście. Pan Brody załatwiał wszystko osobiście. Apartament znajduje się na dwudziestym pierwszym piętrze. - Recepcjonistka wręczyła jej plastikową kartę. - Do apartamentu jest osobna winda. Pan Brody prosił, by przekazać, że ma dziś spotkania na mieście. Wróci około szóstej i pójdziecie razem na kolację. Poproszę o kwit. Bagaż dostarczymy do apartamentu.

- Dziękuję... - Chciała zażądać innego pokoju, ale w portfelu miała zaledwie sto dolarów.

Niech tylko Brody wróci, już ja z nim porozmawiam, pomyślała, idąc do windy.

Obejrzawszy Towers, poczuła się jeszcze bardziej upokorzona. Apartament zajmował prawie całą kondygnację, za pałacowym holem był salon z fortepianem i telewizorem plazmowym wielkości małego ekranu kinowego, a także balkon z niesamowitym widokiem na Upper East Side. Dwie garderoby, przebieralnia, ale... tylko jedna sypialnia! Za nią łazienka z wanną z hydromasażem zdolną pomieścić drużynę rugby. Najgorsze jednak było łóżko. Nieprzyzwoicie ogromne, umieszczone na podwyższeniu, przykryte atłasową kapą i niezliczoną ilością poduszek. Daisy skojarzyło się to z... haremem.

Uznał za oczywiste, że będą z sobą sypiać! Obrzydliwie bogaty i tak samo arogancki, do tego przystojny na irlandzką, zbójcecką modłę... zapewne żadna dotąd mu się nie oparła.

Daisy wróciła do łazienki, odkręciła złote kurki, ze słoja nasypała lawendowych płatków. Odświeży się, a potem obmyśli, jak postępować z Brodym.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Spojrzała na ścienny zegar. Dopiero wpół do piątej. Zamknęła oczy, zanurzyła się w lawendowej pianie i pogрузzyła w nirwanie, słuchając klasycznej muzyki płynącej z konsoli w ścianie. Dziesięć minut relaksu, a potem zacnie szykować się do boju.

- Witaj w Nowym Jorku, aniele.

- Co ty tu robisz?! - Zerwała się na równe nogi, zakrywając piersi.

- Mieszkam. - Stał w szarym, szytym na miarę garniturze, przypatrując się, rzecz oczywista, Daisy.

Która była nagusieńka.

- Nie widzisz, że...

- Widzę i cieszę się, że się rozgościłaś.

- Właśnie się kąpię! - Siadła gwałtownie, rozbryzgując wodę.

- Przecież mówiłem już, że widzę. - Z uśmiechem zdjął marynarkę i usiadł na skraju wanny.

- Co ty wyrabiasz?! - Wrzasnęła, gdy wziął mydło.

- Pomagam ci.

- Nie chcę... - Niestety, nie zabrzmiało to odpowiednio stanowczo.

- Naprawdę? - Zaczął myć jej kark, po chwili pocałował w usta.

Chciała go odepchnąć, ale pocałunek odebrał jej władzę nad sobą.

- Connor... Przestań... - wydusiła wreszcie z siebie.

- Mam przestać? - Zaczął się rozbierać.

- Przestań! - Nie jestem jego zabawką, myślała ze złością. - Nie ma mowy o seksie!

- Słucham? A co to ma znaczyć?

- Nie będziemy się kochać, póki nie ustalimy kilku kwestii - oznajmiła twarzą, choć czuła się nieswojo pod jego spojrzeniem.

- To znaczy? - spytał obojętnie.

Do diabła, pomyślała zrozpaczona. Przecież marzę o seksie! Ten facet robi ze mnie nimfomankę...

- Nie jestem twoją zabawką. Uważasz, że mnie kupiłeś, ale to nieprawda. I nie będziesz mnie tak traktował.

- Oczywiście. - Wzruszył ramionami. - Uważaj, wchodzę do wanny. - Rozebrał się błyskawicznie, po czym usiadł obok Daisy i znów sięgnął po mydło. - Na czym skończyliśmy? - Namydlił dłonie i położył je na jej piersiach.

- To zły pomysł - szepnęła.

Roześmiał się.

- Daisy, nie kłam... - Walnął się w czoło. - A niech to! Zostawiłem gumki w pokoju. - Sięgnął dłonią do brzucha Daisy, potem niżej...

- Zostaw! - Szarpnęła się gwałtownie. Stłumił jej protest pocałunkiem, głaszcząc wrażliwy punkt. Daisy poczuła orgiastyczne dreszcze.

- Dokończymy w łóżku. - Wstał, biorąc ją na ręce.

- Puść mnie! - Dlaczego tak łatwo uległa?

- Oj, Daisy... - Zaniósł ją do sypialni i położył na łóżku.

- Puść! Nie chcę! - Odpychała go, zarazem czując się coraz bardziej bezwolna, poddana władzy Connora.

- Och, na pewno chcesz. - Sięgnął do szuflady po prezerwatywę.

- Nie możesz mnie zmusić!

- Zmusić? Nie mam najmniejszego zamiaru. Aniele, okłamujesz nas oboje, gdy mówisz, że mnie nie chcesz. - Objął ją mocno. - Powiedz jeszcze raz, że nie chcesz, a puszczę cię. Nie będę cię zmuszać. - Patrzył w jej pełne pożądania oczy. - Powiedz, Daisy... - Wszedł w nią powoli, po czym znieruchomiał. - Powiedz, czego tak naprawdę pragniesz...

Powinna kazać mu iść precz. Powinna ratować swoją dumę, wrócić do Londynu i zapomnieć o tym facecie. Tyle że...

Tyle że pragnęła jednego.

- Ciebie, Connor...

Orgazm był kosmiczny. Potem następny i następny...

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Opadł na plecy, próbując opanować oddech. Co w niego wstąpiło? Droczył się z Daisy, i nagle przemienił się w jaskiniowca. Owszem, była podniecona, lecz miała również opory. Zignorował opory, wykorzystał podniecenie, a teraz...

Daisy leżała skulona, drżała. Czyżby płakała?

Sięgnął po koldrę, by przykryć siebie i ją, lecz odsunęła się.

- Nic ci nie jest? - spytał.

- Nic...

Dotąd z kobietami zawsze układało mu się prosto, jasno i bez problemów. Randka, seks, jak poszło dobrze, to powtórka, a potem nieodmiennie „żegnaj”. Lecz z Daisy nic nie było takie proste.

- Na pewno? - Miał ochotę przytulić ją, pocieszyć. Co się z nim stało? Nie poznawał samego siebie. Jakby coś w nim... odmieniła.

Od tygodnia wciąż o niej myślał. Ściągnięcie jej do Nowego Jorku miało być igraszką, swoistą grą... Dlaczego w takim razie obleciał pięciu jubilerów, nim wybrał naszyjnik dla Daisy? Dlaczego poświęcił następnych kilka godzin na przygotowywanie wspólnie z sekretarką planu podróży Daisy? Dlaczego z samego rana zadzwonił do biura linii lotniczych, by sprawdzić, czy wsiadła do samolotu? A gdy tylko dowiedział się, że dotarła do hotelu, odwołał wszystkie spotkania, żeby do niej przyjechać...

Czuł się przez to słaby jak dziecko, lecz nie potrafił temu zaradzić. Gdy zaś wszedł do łazienki i zobaczył jej piękne ciało w pianie, ogarnęło go nie tylko pożądanie, ale i radosna euforia. Dlatego gdy Daisy zaczęła się wzbraniać, musiał jej

udowodnić, że się myli, zbyt mocno bowiem jej pragnął. Tak mocno, że aż napawało go to lękiem.

- Daisy, spójrz na mnie. Chcę wiedzieć, czy wszystko w porządku.

- Dlaczego miałyby być nie w porządku? - Odwróciła się do niego. Oczy miała suche, ani śladu łez. - Dałeś mi przecież to, co chciałam, prawda? O co błagałam, prawda? - Na moment przymknęła powieki. - Jesteś zadowolony, jak sądzę. Tyle że wracam do Londynu. Musisz znaleźć sobie inną fałszywą narzeczoną. - Przerwała na moment. - Seks jest wspaniały, tyle że upokorzenie całkiem niepotrzebne.

- Daisy, przepraszam... - Jeszcze nigdy nie przeproszał żadnej kobiety, nie musiał, więc te słowa przyszły mu z wielkim trudem.

- Za co? Za to, że dałeś mi kilka orgazmów?

Skrzywdził ją, upokorzył, zdeptał dumę...

- Nie chciałem, by tak to wyszło... - Próbował ją przytulić, jednak Daisy siedziała nieporuszona.

- Nie chciałeś? Więc dlaczego kazałeś mi błagać? - spytała oskarżycielsko. - To było okrutne i upokarzające. Co próbowałeś udowodnić?

- Chciałem, żebyś została. Wydawało mi się, że tak cię przekonam. - Nie była to cała prawda, nie mógł jednak wyznać Daisy, jak rozpaczliwie jej potrzebował, jak żadnej kobiety dotąd. To jednak wkrótce minie, na pewno. Łączy ich seks, nic więcej.

- Dlaczego kazałeś mi to mówić?

- Nie wiem. - I nie chciał wiedzieć.

Po prostu musiał lepiej siebie kontrolować, nie powielać tego samego błędu.

- Dużo wydałeś, żebym mogła tu przyjechać - powiedziała cicho. - Nigdy nie byłam w Nowym Jorku, to dla mnie wielka atrakcja. I ten wspaniały hotel... - Przerwała na moment. - Nie, wcale mnie nie zmusiłeś do seksu. Sama chciałam. - Znów pauza. - Jednak tu nie zostanę jako twoja kochanka. To poniżające. Jeśli nadal po-

trzebujesz kogoś, kto będzie udawał twoją dziewczynę, wynajmij mi jakiś tani pokój, żebyś nie wydał zbyt wiele.

Cholera. Nie dbał o pieniądze, nie dbał o to, by udawała jego dziewczynę. Chciał olśnić Daisy. Wyszło, jak wyszło... Okazał się głupcem. Przecież nie była taka jak inne i łatwo mógł się domyślić, że szastanie forszą podziela na nią odstręczająco. Tylko jak okazać, że naprawdę mu na niej zależy?

- Zostań tu, Daisy - oznajmił spontanicznie. - Nie przyjechałaś tu tylko po to, żeby zobaczyć Nowy Jork i mieszkać w Waldorf Astoria. Pragniesz mnie, a ja pragnę ciebie. Po tym, co zaszło, nie ma sensu zaprzeczać.

- Powiedziałam, że nie będę twoją kochan...

- Wiem, Daisy. Zachowałem się okropnie, nie okazałem ci szacunku, uraziłem twoją dumę. To już się nie powtórzy, obiecuję. - Uśmiechnął się do niej czule. - Ubierz się. Mamy sporo roboty przed kolacją. - Wyszedł.

Mogła wreszcie zebrać myśli. Po tym, jak się kochali... nie, jak go błagała, żeby się kochali... czuła się straszliwie upokorzona. Gdy ją przeprosił, dotarło do niej, że naprawdę mu na niej zależy, co jeszcze bardziej skomplikowało sytuację. Po pierwsze, nie umiała mu się oprzeć, choć powinna. Czy jednak naprawdę powinna, skoro Connor szczerze jej pragnął? A ona jego? Zachowała się jak hipokrytka, postanawiając, że nie będzie z nim się kochać. A tak bardzo nienawidziła hipokryzji!

Wysiadła z windy. Connor w kolejnym szytym na miarę garniturze wyglądał oszałamiająco. Pragnęła go najbardziej na świecie. Nie było sensu zaprzeczać.

Po chwili jechali limuzyną. Daisy udawała, że pochłonął ją widok Park Avenue, by zastanowić się nad strategią przetrwania. Nie miała szans, by zdołała przez dwa tygodnie powstrzymać się od seksu z Connorem, jednak zasadnicze założenia pozostawały w mocy: seks tak, prawdziwe uczucie nie. Miała do czynienia z atrakcyjnym facetem, który zwykł brać to wszystko, na co miał ochotę. Teraz chciał jej. W porządku, ona jego też pragnie. Mieli przed sobą dwa tygodnie. Zrobi

wszystko, by okazały się wspaniałą przygodą, po której pozostaną cudowne wspomnienia.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział.

- Po co tu przyjechaliśmy? - Patrzyła zdziwiona na wspaniałą witrynę sklepu jubilerskiego.

- To przynajmniej w części rozwiąże nasz problem. Aha, tak przy okazji... - Zmierzył ją wzrokiem. - Wspaniała suknia.

- Jaki problem chcesz rozwiązać? - spytała gdy pchnął obrotowe drzwi do sklepu.

- Kupię ci pierścionek zaręczynowy. - Czule musnął jej policzek.

- Nie włożę. To śmieszne!

- Nie dąsaj się, aniele. - Uśmiechnął się uroczo. - Maureen pomyśli, że ci się nie podoba. - Ruchem głowy wskazał na sprzedawczynię, która udawała, że układa jakieś pudełko.

- To nie to, wiesz dobrze. Nie mogę. - Pierścionek był przepiękny, ale co z tego?

Owszem, marzyła, że ukochany mężczyzna włoży jej kiedyś na palec zaręczynowy pierścień, ale Connor nie był tym mężczyzną i nigdy nie będzie.

- Dlaczego nie możesz? Nie chcesz być moją kochanką, w porządku. Włóż więc pierścionek, a zostaniesz moją narzeczoną na dwa tygodnie. I po problemie.

Jak miała wytłumaczyć Connorowi, że problem kryje się zupełnie gdzie indziej? Nawet gdyby spróbowała, uzna ją za romantyczną idiotkę.

- Nie jestem twoją narzeczoną - oznajmiła rzeczowo. - To kłamstwo, a ja nie lubię kłamać.

- Rozumiem, ale proszę, nie traktuj tego tak poważnie. Chodzi tylko o dwa tygodnie. Zabawimy się, podpiszę umowę, niczyja duma nie ucierpi.

- Hm... - Cóż, zabrzmiało to całkiem rozsądnie. - Musisz mnie dokładnie poinstruować, bo nie tylko nie lubię, ale i nie potrafię kłamać.

- To nie będzie kłamstwo, tylko jeden z najkrótszych okresów narzeczeńskich w historii świata. - Z uśmiechem wsunął jej pierścionek na palec.

Poczuła, jak na jej sercu zaciska się pętla.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Tak się cieszę, że cię poznałam, Daisy - oznajmiła rozpromieniona Jessie Latimer. - Monroe i ja zawsze mówimy, że tylko wyjątkowa kobieta ma szansę usidlić Connora. Niezły z niego gagatek.

- Nie przeczę. - Daisy zacisnęła palce na kielichu szampana, usiłując się uśmiechnąć. Po tym, jak „gagatek” ją tu wpakował, może uważać się za martwego.

Poprzedni tydzień był niesamowity. Metropolitan Opera, Metropolitan Museum of Art, Coney Island, rejs statkiem widokowym... i mnóstwo wspaniałego seksu. Nie podejmowali jednak żadnych zobowiązań, nie mówili o przyszłości, nie wnikali nawzajem w swoje życie. Daisy nie wniknęła również w istotę fałszywego narzeczeństwa. Była pewna, że sobie poradzi. Nie przewidziała jednak, jaki numer wytnie jej Connor.

Przyszli na otwarcie Galerii Latimera. Monroe Latimer był znanym na całym świecie artystą, Daisy znała i podziwiała jego prace. Connor przyjaźnił się z nim i z jego żoną, dlatego Daisy założyła, że po cichu wyznał im prawdę. Jednak gdy Jessie entuzjastycznie zareagowała na widok pierścionka, Connor zaczął łąać bez skrpułów, snując nawet plany dotyczące ślubu.

Gdy w końcu Monroe odciągnął go na piwo, Daisy została z kobietą, którą szczerze polubiła, lecz teraz musiała okłamywać. Próbowwała zahaczać o inne tematy, jednak Jessie wciąż wracała do tego samego. Wreszcie powiedziała:

- Jesteś tak inna od kobiet, z którymi Connor dotąd się spotykał. Przepraszam, że tak mówię, ale potraktuj to jako komplement. Znamy go od trzech lat, biznesowe kontakty przerodziły się w przyjaźń, ale te wszystkie laleczki bardzo nam się nie

podobały. W końcu znalazł odpowiednią kobietę. Sporo czasu na to stracił, ale wreszcie mu się udało.

- Udało się... - powtórzyła machinalnie.

Po co to kłamstwo?

- Daisy, co się dzieje? Pobladłaś.

- Nie wiem, jak to powiedzieć... - Nadszedł moment prawdy.

Dłużej nie była w stanie kłamać.

- Co? - ponagliła ją zaniepokojona Jessie.

- Nie jesteśmy narzeczonymi.

- Jak to?

- Poznaliśmy się dwa tygodnie temu. Jest moim sąsiadem. Tylko udaję jego narzeczoną.

- Żartujesz?

- Wiem, jak paskudnie to wygląda. Oszukał was, ja też was oszukałam...

Ku jeszcze większej konsternacji Daisy, Jessie wybuchnęła śmiechem.

- Przepraszam, ale nie masz pojęcia, jaka to ironia losu.

- Dziękuję, że się nie gniewasz.

- Daj spokój. Teraz widzę, jak źle się z tym czujesz. Dlaczego się zgodziłaś?

- To skomplikowane.

- Z pewnością, a ja nie mam zamiaru prawić ci morałów. Ale Connor jest naszym przyjacielem, więc chciałabym wiedzieć, co się dzieje między wami.

- Wyjaśnienie zajęłoby trochę czasu, w każdym razie gdybym podała moją wersję.

- Mamy cały wieczór, przynajmniej dopóki nasi panowie nie znajdą piwa, co trochę potrwa, jako że catering dostarczył tylko szampana.

- No dobrze. Mieszkam w pensjonacie w zachodnim Londynie, sprzedaję ciuchy na targu Portobello. To wszystko tutaj... jest skrajnie odległe od mojego praw-

dziwego życia. Opiekuję się starszymi mieszkańcami naszej dzielnicy, prowadzę artystyczne kółko dla dzieci w domu kultury, uczę, pomagam...

- Już wiem, dlaczego od razu cię polubiłam.

- Nie zrozum mnie źle. Lubię takie życie. Daje mi poczucie stabilności, realizuje jasne cele. Jest bazą, na której kiedyś zbuduję moją rodzinę. Nie interesuje mnie bogactwo i miejsce w świetle jupiterów. Czekam na kogoś odpowiedniego, a Connor jest tego przeciwieństwem. Nie mogę na nim polegać, nie dąży do ustabilizowanego życia, co zresztą świetnie rozumiem. Nie mam złudzeń, nie jest nam pisany wspólny los. Stał się jednak pokusą na tu i teraz, której nie mogłam się oprzeć. Szybko jednak wrócę do swojego życia.

- Rozumiem

- Pewnie myślisz, że go wykorzystuję, ale on też na tym korzysta, więc nie czuję się winna - stwierdziła niepewnie.

- Nie sądzę, że go wykorzystujesz.

- Nie?

- A nawet gdyby, przyda mu się. Zastawiał sidła, niech sam w nie wpadnie.

- Ciekawy punkt widzenia... - Daisy odetchnęła z ulgą. Może aprobata ze strony Jessie nie powinna być dla niej aż tak ważna, ale była.

- Muszę jednak stwierdzić, że nie doceniasz Connora. Przystojny, lekkomyślny czaruś, jak go opisałaś, to tylko pozory. Tak się prezentuje światu, i robi to całym świadomie. Na nas też zrobił takie wrażenie. Polecono nam go, gdy rozpoczynaliśmy ten projekt, polubiliśmy go jako człowieka, jednak ten wizerunek nas niepokoił.

- To dlaczego zaryzykowaliście?

- Poprosiliśmy o sprawdzenie Brody Construction i wyszło na to, że to solidna i odnosząca sukcesy firma. Dlatego zaczęliśmy współpracować. A wszystko szło jak po grudzie. Załatwianie pozwoleń wlokło się bez końca, najważniejszy dostawca ogłosił upadłość, w budynku wykryto wady konstrukcyjne... Prawdziwy kosz-

mar! Jednak Connor okazał się naszym mężem opatrnościowym, sumiennym, pracowitym, pomysłowym i godnym zaufania. Wszystko załatwił, wszystkiego dopilnował, pracując po osiemnaście godzin na dobę.

- Świetnie go rozumiem - entuzjasmowała się Daisy. - Trzeba kochać swoją pracę, by cokolwiek osiągnąć.

- Oczywiście. Connor uwielbia wyzwania. Dlatego zawsze się dziwiłam, że jeśli chodzi o kobiety, szedł na łatwiznę. Ładniutkie głupiutkie laleczki... Choć zdarzały się wśród nich cwaniary, choćby ta ostatnia, Rachel. Nie zdziwiłam się, kiedy powiedziała Connorowi, że jest w ciąży.

- Connor ma dziecko?

- Oczywiście, że nie. Rachel zablefowała, gdy Connor chciał zerwać znajomość. Zaskoczył wszystkich, gdy oświadczył, że się żeni. Wyszło jednak na jaw, że Rachel wcale nie spodziewa się dziecka. Connor wyglądał, jakby uciekł spod katowskiego miecza.

- Nie chciał być ojcem?

- Z tego, co wiem, miał trudne dzieciństwo, więc nie otrzymał właściwych wzorców rodzinnych. Zresztą wolałabym nie wyciągać zbyt daleko idących wniosków, wiem jednak na pewno, że Connor nie lubi stałych zobowiązań. Zobacz, jest deweloperem, ale dotąd nie miał stałego adresu. Ta londyńska rezydencja to jego pierwszy dom w życiu...

- Rozumiem.

- Dlatego tak bardzo dziwi mnie to, że po niespełna dwóch tygodniach znajomości kupił ci pierścionek zaręczynowy.

- Przecież mówiłam, że to nie są prawdziwe zaręczyny.

- Na pewno?

- Hm... - Jasne, że była tego pewna...

- Coś mi tu nie pasuje, Daisy. Łatwo zauważyć, jak bardzo się różnisz od innych kobiet, z którymi Connor się spotykał. Nie jesteś płytka, głupia ani cwana. Po

drugie, traktuje cię inaczej niż tamte. Wszedł tu, trzymając cię pod rękę, akcentuje, że jesteś jego. Nigdy tak zaborczo się nie zachowywał. No i te fałszywe zaręczyny. Po co milionerowi i uznanemu przedsiębiorcy fałszywa narzeczona?

- Nie wyjaśnił mi konkretnie.

- Mhm... Dobrze znam Connora i sądzę, że dzieje się tu coś, z czego żadne z was nie zdaje sobie sprawy.

Daisy czuła, jak serce jej łomocze z całych sił. Naprawdę nie chciała tego słuchać. Widziała przed sobą przepaść, w którą nie chciała skoczyć.

- Pochlebia mi, uważając mnie za kogoś szczególnego, ale to nieprawda.

- Nie doceniasz siebie, podobnie jak Connora.

- To tylko umowa - powiedziała Daisy. - Nie połączył nas romans...

- Jesteś pewna? - odparła Jessie z uśmiechem.

- No, stary, puść farbę, co z tą rudą? - spytał Monroe. - Nie mów mi tylko, że to twoja narzeczona. Znam cię, wołami by cię nie zaciągnęli do ołtarza.

- Racja. - Connor uznał, że nie ma co dłużej ukrywać prawdy przed przyjacielem. Od dwudziestu minut siedzieli przy potajemnie sprowadzonym piwie. - Daisy jest moją sąsiadką. Inteligentna, ładna, a że z pewnych powodów powinienem pokazać się tu z kobietą, więc sam rozumiesz. Ale nie jest to nic ważnego.

- To jednak nie wyjaśnia, dlaczego przedstawiłeś nam ją w taki sposób ani po co kupiłeś jej drogi pierścionek.

- To skomplikowane.

- Tak sądzę.

- I niezbyt ciekawe.

- Pozwól, że sam to ocenię.

Monroe był świetnym kumplem, ale w jednej kwestii zupełnie się nie zgadzali, mianowicie w kwestii miłości i rodziny. Connor był pewien, że nigdy się nie zakocha. Monroe uważał, że przyjdzie kryśka na Matyska, nie wiedział jednak, że dla

Connora rodzina była synonimem piekła. I żadna kobieta tego nie zmieni. Gdy Rachel oświadczyła, że jest w ciąży, przed oczyma stanęło mu całe jego życie. Owszem, zaproponował ślub z uwagi na dziecko, ale tak naprawdę nie chciał zakładać rodziny.

- Przepraszam, powinienem być wobec ciebie i Jessie szczerzy, ale po tym, jak przez trzy lata próbowała mnie wyswatać, nie mogłem się oprzeć, by zobaczyła ten pierścionek.

- Owszem, jest zawzięta, wiesz jednak doskonale, że ten żarcik odbije ci się czkawką.

- Wybaczy mi. Nie oprze się memu irlandzkiemu urowi.

- Owszem, pewnie i wybaczy... jednak nie w tym rzecz.

- A w czym?

- Jessie i ja uwierzyliśmy wam. Wiesz dlaczego? Bo ty i ten mały rudzielec pasujecie do siebie. Do diabła, wiem, co mówię. Ona jest dla ciebie.

- A niech cię... - Connor spojrział na niego ponuro. - Znaczą ludzkich dusz się znalazł...

- Hej, gdzie podział się ten twój irlandzki urok? - skwitował ze śmiechem Monroe.

- Dlaczego nie powiedziałaś, że przyjaźnisz się z Latimerami? - spytała Daisy, zdejmując klipsy.

- Wspaniale dziś wyglądałaś - próbował się wykpić, biorąc ją w ramiona. - Muszę kiedyś znów cię zatrudnić.

- To nie jest śmieszne. Postawiłeś mnie w trudnej sytuacji. Nie wiedziałam, że tak dobrze ich znasz, i nagle wyskoczyłeś z tym ślubem. A na koniec zostawiłeś mnie z Jessie. Wiesz, że nie lubię kłamać. To nie było fair.

- Daj spokój, aniele. Nic się nie stało. Szybko się zorientowali.

- Jessie nie. Musiałam jej wszystko opowiedzieć. - A co usłyszała w zamian...

- Nie rozumiem, po co przedstawiłeś mnie Latimerom jako swoją narzeczoną.

- Och, taki impuls. - Wzruszył ramionami. - Nie martw się. Chodźmy do łóżka i zapomnijmy o tym. - Pocałował ją w szyję, a ona zareagowała gwałtownie, jakby dzięki erotycznym doznaniom chciała o wszystkim zapomnieć. - Tylko to się liczy, aniele... - Wziął ją na ręce i ruszył do sypialni.

Tak, tylko to się liczy. A jednak nie mogła się pozbyć uczucia paniki.

L R

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Zamek Belvedere wyglądał, jakby go żywcem przeniesiono do Central Parku z bajek Braci Grimm.

Pobyt w Nowym Jorku dobiegał końca. Dotąd Daisy udawało się nie myśleć o wyrażonych przez Jessie wątpliwościach, lecz wreszcie zaczęła się zastanawiać, jak mogłoby być między nimi, gdyby byli do siebie podobni. Wieczorem pójdą na bal do gubernatora, jutro polecą do Londynu... I Daisy wróci do dawnego życia. Choć nie chciała się do tego przyznać, wiedziała, że najbardziej będzie jej brakowało nie przepychu i wrażeń, ale bliskości Connora. Bo Daisy wiedziała doskonale, że lepiej zerwać od razu, niż pozwolić, by ich znajomość obumierała dzień po dniu. Umówili się na dwa tygodnie, które właśnie dobiegły końca. I tyle.

Spojrzała na leżącego obok Connora, wspominając noc, w której pierwszy raz dotknęła jego ciała. Dwa tygodnie nieustannych rozkoszy w niczym nie pohamowały jej nimfomanii. Ciekawe, o czym myśli. Dziwne, spędziła z nim dwa tygodnie, a w sumie co o nim wiedziała? Że nie szuka stałego związku, ma dobrze prosperującą firmę deweloperską, z takim samym smakiem je hot doga z budki i frykasy w pięciogwiazdkowej restauracji, wrzuca pieniędzy do puszek każdego żebraka, nigdy nie zapominał wspomnieć, że ładnie wygląda w tej czy innej sukience, którą zresztą przy pierwszej okazji zdierał z niej. Zachłanny, hojny, z pewnością nie był snobem.

Ale reszta była tajemnicą. W ogóle nie rozmawiali o przeszłości. Dotąd myślała, że tak będzie lepiej dla obojga, lecz teraz, gdy pozostała im ledwie doba, nie była już tego taka pewna. Chciała wiedzieć o nim więcej, choć znała przysłowie, dokąd prowadzi ciekawość.

Usłyszała głośny krzyk. Jakiś mężczyzna grał w piłkę z dwoma synami. Przyglądała się, jak delikatnie interweniował, gdy starszy za bardzo popychał młodszego.

go. Ciekawe, jakim ojcem byłby Connor, gdyby Rachel jednak zaszła w ciążę. Uśmiechnęła się na tę myśl.

- Co cię tak rozśmieszyło?

- Tak sobie myślę, jaki to wspaniały tata.

- Skąd wiesz, że dobry z niego ojciec?

- Jest sprawiedliwy dla obu synów i naprawdę cieszy się z ich towarzystwa.

Chciałabym, żeby moje dzieci miały takiego ojca.

- Twoje dzieci?

- Zawsze chciałam mieć dużą rodzinę.

- W takiej się wychowałam? Twój ojciec właśnie taki był?

- Nie znałam go. - Czuła się trochę niepewnie, bo dotąd unikali tak osobistych tematów. - Ale udawanych tatusiów nigdy nie brakowało.

- Udawanych?

- Moja mama wiodła cygańskie życie. Zakochiwała się, wprowadzała do kolejnego faceta, a potem przekonywała się, że jednak on niespecjalnie ją kocha. W efekcie miałam pełno takich udawanych tatusiów. - Zadumała się na moment, potem dodała cicho: - Nawet starali się być mili, ale żaden nie był moim ojcem, ani nawet nie chciał.

- Ciężko ci było.

- Owszem, gdy byłam mała, bo przywiązywałam się do nich. Wreszcie zrozumiałam, że mama nie wiąże się z nikim na długo i nauczyłam się zachowywać dystans.

- Cholera, Daisy. Kto by pomyślał? - Uśmiechnął się, by rozładować atmosferę. - Kto by pomyślał, że moja niezłomna, pragmatyczna Daisy jest taką marzycielką...

- Z czego się śmiejesz? Że chcę mieć rodzinę? Sam możesz sobie nie chcieć, ale moje pragnienia nie są komiczne.

- Wiem Daisy. To, co mówisz, nie jest śmieszne, tylko wzruszająco naiwne.

- Naiwne?

- Szukasz kogoś, kogo nigdy nie znajdziesz. Skąd wiesz, czy ten facet nie upija się, nie bije tych chłopców?

- Dlaczego tak mówisz? - spytała zdumiona.

- Bo tak też się zdarza.

- Twój ojciec tak robił, prawda?

- Skąd wiesz? - Spojrzał na nią nieufnie.

Patrzyła na niego zatroskana. Nie rozumiała, po jakie licho zaczął tę rozmowę.

- Kiedy masz koszmary, mówisz przez sen. I widziałam blizny na twoich plecach. - Jak wiele musi mieć ich w sercu... - Opowiesz mi o tym?

- Co tu opowiadać... Matka umarła, zostawiła tatę z szóstką dzieci. Wrócił zapłakany ze szpitala i zalał się w trupa. Od tego momentu wszystko się zmieniło. Najpierw klapsy, kuksańce, potem pas, kopniaki, ataki sadystycznej furii. Przestał się kontrolować, alkohol zmienił go w potwora. Wypatrywaliśmy go z Makiem, moim bratem, w oknie. Mac robił herbatę, ja kąpałem dziewczynki, karmiłem je i kładłem, zanim wrócił. W dobre noce ledwie stał na nogach, więc kładliśmy go do łóżka. W złe... Takie życie.

- Tak mi przykro, Connor.

- Było, minęło. Wszystko się dobrze skończyło. Ułożyłem sobie życie. Jestem szczęśliwy.

- Co się stało z Makiem i siostrami?

- Gdy władze zorientowały się, co się dzieje, rozdzielono nas. Poszliśmy do rodzin zastępczych i adopcyjnych.

- Utrzymujecie z sobą kontakt?

- Nie, potem już się z nimi nie widziałem. Mac został aktorem, używa pełnego imienia.

- Cormac Brody to twój brat? - Irlandzki aktor, który przebojem zdobył Hollywood, rzeczywiście był podobny do Connora. Te same błękitne oczy, ten sam urok. - Dlaczego się do niego nie odezwiesz?

- Po co? Nie należy do mojego życia, ja do jego życia. Tęskniłem za nim jak za wszystkimi, ale dali sobie radę beze mnie, ja bez nich.

- Przecież jesteście rodziną, potrzebujesz ich.

- Daisy, to nie tak. Gdy byłem mały, modliłem się do Matki Boskiej, żeby mama wróciła, a tata przestał pić. Żebyśmy znów stali się szczęśliwą rodziną. Aż wreszcie zrozumiałem, że czasu nie da się cofnąć i można iść tylko do przodu. Nie można na nikim polegać, nic nie jest pewne. Cieszymy się więc chwilą, póki trwa.

Chciał więc żyć chwilą. Nie przez egoizm nie zamierzał zakładać rodziny, ale z powodu traumatycznych przeżyć z dzieciństwa. Oboje byli tchórzami. On bał się skorzystać z szansy, ona, by nie powtórzyć błędów matki, zaprzeczała uparcie, że beznadziejnie się w nim zakochała.

I co teraz?

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Stała we wspaniałej sali balowej u boku ubranego w smoking Connora i zastanawiała się, co jeszcze dziwnego ją spotka. Panie w najnowszych kreacjach paradowały niczym pawie, elegancy panowie puszyli się w drogich garniturach. Bal był doroczną imprezą dobroczynną, ale według Connora stanowił przede wszystkim pretekst do pokazania się publicznie.

Naszyjnik od Connora idealnie pasował do sukni, którą wieki temu uszyła na wysłużonej maszynie.

- Daisy, ta suknia jest rewelacyjna, gdzie ją kupiłaś? Wszystkie panie chciałyby poznać nazwisko projektanta. - Z kieliszkiem szampana podeszła do nich Jessie Latimer.

- Hm, ta...

- Sama ją uszyła - pomógł jej Connor. - Jest nie tylko piękna, ale i zdolna.

- To wspaniale. Daisy, opowiadałam o tobie mojej siostrze, Ali. Chciałaby cię poznać. Znów spodziewa się dziecka. Pomóż mi ją czymś zająć, bo obsesyjnie myśli o ciąży.

- Chętnie ją poznam - zgodziła się Daisy nie bez nutki zazdrości.

- Ali znów w ciąży? Które to? Czwarte?

- Najprawdopodobniej czwarte i piąte. Stąd ten szok.

- Dlaczego ja nie mogę do niej iść?

- Bo to tylko dla pań. - Jessie dźgnęła go palcem w tors. - Linc i Monroe są już przy barze, możesz do nich dołączyć. - Poprowadziła Daisy przez elitę Manhattanu.

Gdy Daisy zerknęła za siebie, Connor wciąż stał w tym samym miejscu. Cóż, zakochała się, lecz to jeszcze nie znaczy, że zgłupiała. Connor oczekiwał od życia czegoś zupełnie innego niż ona i to nigdy się nie zmieni... Chyba że też się w niej zakocha.

- Jak leci? Nie musimy iść do Ali, pomyślałam tylko, że chciałabyś nieco odechnąć przed tańcami. Wyglądacie na sfrustrowanych. Coś się stało?

Daisy rzeczywiście była nie w sosie, natomiast Connor... Cóż, kompletnie go nie wyczuwała.

- Nic się nie dzieje. Po prostu sporo tego jak dla dziewczyny z Portobello Road.

- Amerykanie nie znają umiaru, co? O kurczę, ta kobieta jest groźna. Lincoln ją odstawił, więc dorwała Connora.

Daisy odwróciła się gwałtownie. Do Connora kleiła się piersiasta blondynka w supermini. Trzymał ręce w kieszeni, widać było, że nie cieszy się z jej towarzystwa, ale też nie protestował.

- Kto to? - spytała spokojnie, chociaż w środku kipiała niczym wulkan.

- Mitzi Melrose, nałogowa flirciara, żona Eldridge'a Melrose'a, miliardera i finansisty, który chyba nie...

Daisy przestała ją słyszeć. Lafirynda mizdrzyła się do jej fałszywego narzeczonego, a ten nic z tym nie robił. Może i te zaręczyny były fałszywe, ale Connor przedstawiał ją jako przyszłą żonę.

Poza tym zakochała się w tym bałwanie.

- Jessie, przepraszam cię na chwilę.

- Idź, idź.

Connor nie słuchał szeptu Mitzi, tylko z bijącym sercem patrzył na Daisy. Wyglądała wspaniale w satynowej sukni, która znakomicie uwypuklała idealną figurę.

Nie lubił takich wystawnych imprez, teraz szczególnie miał już dość. Pragnął wrócić z Daisy do hotelu i kochać się z nią, słuchać jej, zasnąć przy niej. Zdał sobie sprawę, że po powrocie do Anglii nie będzie umiał jej zostawić. Miał nadzieję, że nasyci się nią przez te dwa tygodnie, lecz pragnął jej coraz bardziej.

Gdy podeszła bliżej, kandelabr oświetlił jej twarz. W szmaragdowych oczach Connor zobaczył gniew i stanowczość. Zamierza dać mu kosza?

- Przedstawisz mnie swojej przyjaciółce? - spytała słodziutko. Blondyna trzymał go za klapy marynarki, co uczyniło z Daisy potencjalną morderczynię.

- Daisy, to jest Mitzi Melrose. Mitzi, przedstawiam ci Daisy Dean, moją narzeczoną. Mogłabyś nas na chwilę...

- Narzeczona? Chyba żartujesz! - Mitzi roześmiała się piskliwie. - Kochanie, nie wspominałeś, że chcesz się żenić. - Złośliwie uśmiechnęła się do Daisy. - Connor, już zapomniałeś, jak nam było dobrze?

A więc to tak? Wyciągnął ją do Nowego Jorku, mówił piękne słówka, kochał się z nią, a gdy przyszło co do czego...

- Mitzi! - Spojrzał na nią wściekle. - Dość tej komedii.

- Nie wiem, Connor, co tu jest prawdą, a co komedią - oznajmiła sucho Daisy.
- Albo mnie szanujesz, albo wolna droga.

- Włazisz mi w drogę, dziwko! - pisnęła Mitzi.

- Zamknij się - warknął Connor. - Powiem mężowi. Możesz się pożegnać z kontraktem. - Mitzi, już dawno przeholowałaś. Rób, co chcesz, gadaj, z kim chcesz, ale mnie daj święty spokój. - Gdy Mitzi odeszła jak niepyszna, spojrzął na Daisy. - Mów, o co ci chodzi? - Złapał ją za ramię.

- Puść mnie. Wracajmy do hotelu. Robimy przedstawienie. - Sama to spowodowała. Była wściekła na siebie.

- Nieważne, po prostu powiedz, o co ci chodzi. - Wyraźnie starał się uspokoić.
- Jasne, że cię szanuję. Jak mógłbym inaczej?

- Nie będę o tym teraz rozmawiała.

- Będiesz. Chcę, żebyś to z siebie wydusiła. - Objął ją zaborczo i wyprowadził z sali na oczach wszystkich.

Nigdy nie została tak upokorzona, ale jeszcze gorsza była myśl, że Connor znów ją złamie, a ona wszystko mu powie, przez co znajdzie się na jego łasce.

Weszli do damskiej toalety.

- Connor Brody! Co robisz w damskiej toalecie? - spytała starsza dama, która układała sobie włosy przed lustrem.

Uśmiechnął się czarująco.

- Pani Gildenstern, przepraszam, ale muszę porozmawiać z narzeczoną na osobności.

- Ach, więc to ta szczęściara! Dobrze, już znikam.

- Daisy, powiedz, o co chodzi? - spytał, gdy zostali sami.

- Nie podobało mi się, że obłapiałeś tę wywłokę.

- Wywłokę? Mówisz o Mitzi?

- Tak. Wiem, że nasze zaręczyny to tylko komedia, byłabym ci jednak niewymownie wdzięczna, gdybyś nie obściskiwał się publicznie z innymi kobietami, bo czyni to ze mnie pośmiewisko. Być może nie jestem najseksowniejsza i najpiękniejsza, ale skoro wszyscy uważają mnie za twoją narzeczoną, domagam się choćby odrobiny szacunku.

- Jezu, ty jesteś zazdrosna.

- Nie jestem. Czy wyglądam na głupią?

- Jesteś! - powtórzył z satysfakcją.

- Dość tego! Idę sobie!

Próbowała mu się wyrwać, ale mocno objął ją w talii.

- Muszę ci powiedzieć, że pięknie się złościysz, aniele.

- Przestań ze mnie drwić! - Zamachnęła się, by walnąć go w pysk.

Złapał jednak jej dłoń i zaczął całować paluszek po paluszku.

- No już, aniołku. - Wtulił się w nią mocno.

Rany! Zbiera mu się na amory! - dotarło do Daisy.

- Nie ma mowy! - Zrobiło się jej gorąco. - Żadnego seksu. Właśnie się kłócimy!

- Wiem, aniele. - Rozpiął jej suknię. - Lecz jak po burzy nastaje cisza, tak po kłótni wzajemne przeprosiny i pogodzenie się. - Na podłogę upadł stanik.

- W łazience?! - Nigdy nie kochała się w miejscu publicznym. - Ktoś może wejść.

- Daisy, pragnę cię bardziej, niż kiedykolwiek kogokolwiek pragnąłem. - Pocałował ją namiętnie, po czym rozebrał do końca i połączyli się. - Wiesz, że to nie koniec, Daisy...

- Wiem...

L R

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Mimo wyczerpujących przeżyć, podczas lotu Daisy spała bardzo niespokojnie, myśląc o tym, co ją czeka. Jeśli wyzna miłość, jak zareaguje Connor? Obruszy się? Będzie znudzony?

- Obudź się, aniele. Jesteśmy w domu.

- W domu?

- Tak. - Może powinien się z nią pożegnać choć na jedną noc, ale wystarczyło, by musnęła go dłonią, wysiadając z samochodu, a już wiedział, że nie będzie w stanie.

- Zanieść do domu? - zapytał kierowca, wyjmując bagaże.

- Nie, dzięki za pomoc, Joe - powiedział Connor, podając mu banknot dziesięciofuntowy, po czym wziął bagaże. - Chodź do mnie, Daisy. Musimy porozmawiać.

- Wiesz?

- Co niby miałbym wiedzieć?

- Och... - Zaskoczona patrzyła w stronę posesji. - Co to? Dlaczego?

- Ach, o to chodzi... - Zrozumiał, że Daisy pyta o tabliczkę z napisem „Na sprzedaż”. Zupełnie o tym zapomniał.

- Wyprowadzasz się? - spytała ze łzami w oczach

- Tak, ale wiesz, jak to z handlem nieruchomościami. Trochę to potrwa. Zdążymy się sobą nacieszyć.

Sprzedaje dom i nawet nie raczył jej o tym wspomnieć...

- Nie, dzięki. Muszę sobie na jakiś czas odpuścić. Aha, zwracam. - Podała mu pierścioneł

- Przestań, aniele. To nic takiego.

- Nie do końca. Bo się w tobie zakochałam, ty palancie!

- Co?!

Wyglądał na przerażonego. Przynajmniej wiedziała już, co o tym myśli.

- W porządku Connor. Odejdę po cichu. Nie będę robić scen. - Takich jak matka.

Został jej już tylko honor.

- Co ty mówisz? Nie kochasz mnie, to niemożliwe.

- Nie pouczaj mnie, co czuję. Ale nie bój się, nie oczekuję niczego w zamian, zwłaszcza że i tak nie potrafiłbyś tego dać.

- Zaraz, zaraz... Mówisz, że mnie kochasz, a w następnej chwili odchodzisz?

- Tak, bo ty mnie nie pokochasz.

- Nie Kocham nikogo. Nie umiem. Mówiłem ci.

- Wiem, Connor. - Owszem, mówił. To jej wina, że nie słuchała... czy też nie chciała słuchać. - Nie martw się, przeżyję.

- Daisy, nie odchodź. Porozmawiajmy...

- Będę obok. Może później... - Ruszyła przed siebie.

Choć tak bardzo się starała, popełniła ten sam błąd co matka. Zakochała się w niewłaściwym facecie.

Upuścił walizki i zatrzasnął drzwi. Nie do końca tak miało być. Co jej strzeliło do głowy z tą miłością?

Ochłonie i wrócą do tematu.

A co, jeśli Daisy odeszła na dobre?

Po raz pierwszy od dzieciństwa miał ochotę modlić się o coś, co nigdy nie miało się spełnić.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Przelykając lzy, wyjmowała z walizki pamiątki, które tak starannie zapakowała. Zdjęcie przedstawiające ją w ramionach Connora na Empire State Building. Bilet na pierwsze i ostatnie w życiu przedstawienie na Broadwayu. Serwetka z Rainbow Room. Suknie, których zapewne nie będzie miała okazji włożyć.

Przebrała się i poszła na targ, myśląc o tym, że wprawdzie głupio postąpiła, lecz jej marzenie wciąż pozostaje aktualne. Kiedyś znajdzie tego właściwego. Kiedyś pokona ten ból i będzie wspominać ostatnie zdarzenia jako romantyczną przygodę.

Gdy ujrzała stoisko z tęczą bawełnianych sukienek i jedwabnych apaszek, uśmiechnęła się pogodnie. To było jej prawdziwe życie, które tak bardzo kochała.

- Dzień dobry. Znajdzie się dla mnie jakaś bluzeczka?

- Daisy, wróciłaś! No i jak było?

Gdy tylko przyjaciółka rzuciła się jej na szyję, wszystkie tak doskonale powstrzymywane emocje wezbrały niczym rzeka podczas roztopów i Daisy po prostu się rozbeczała.

- Kochanie, co się stało? - dopytywała się wystraszona Juno.

Daisy płakała nieprzerwanie.

- O rety, Daze, co się stało? Nigdy nie widziałam, żebyś tak ryczała - zdumiała się Jacie.

- A stało się, stało. Zakochałam się w nim. Ale ze mnie idiotka, co?

- Och, Daze. Powiedziałaś mu? - spytała zatroskana Juno.

- Tak. Bez wzajemności.

- Jesteś pewna? - Jacie zawsze starała się być optymistką.

- Oczywiście.

- Nie jest cię wart. Od razu wiedziałam - orzekła surowo Juno, gdy Jacie poszła obsłużyć klientkę.

- W porządku, Juno. Dam radę. Od razu było widać, że nie jesteśmy dla siebie stworzeni. Byłam głupia. Connor sprzedaje dom, więc nie będę sobie ciągle przypominać swojej głupoty. - Nagle zrobiło jej się niedobrze. - Juno, daj torebkę... - Po chwili zwróciła do plastikowego woreczka całą zawartość żołądka.

- Daisy, co się dzieje? Jak się czujesz? - spytała zatroskana Jacie.

- Nie za dobrze. Chyba nadmiar emocji.

- Albo ciąża.

- Jacie, to nie jest śmieszne. Poza tym fizycznie niemożliwe.

- Okres ci się nie spóźnia? Bo piersi jakby większe...

- To nic. Okres dostanę lada dzień... Którego dziś mamy?

- Dwudziestego piątego... - powiedziała ostrożnie Juno.

- Och... Nie mogę być w ciąży, Connor zawsze używał prezerwatywy.

- Wiesz, że skuteczność gumek wynosi dziewięćdziesiąt procent?

- Wiem, ale... Żadna nie pękła ani nic.

- Nie muszą pękać.

- Rany, przecież sperma nie przeniknie przez gumę!

- Ile ci się spóźnia okres?

- Dwa tygodnie.

- Jak nic trzeba kupić teścik... tak na wszelki wypadek. - Musisz mu powiedzieć.

Daisy zadrżała. Niemożliwe, żeby spodziewała się jego dziecka.

- Sprawdźmy jeszcze raz. Nie uwierzy mi. Sama nie wierzę.

- Zrobiłaś już trzy testy. Albo cud dzieworództwa, albo ojcem jest pan donżuan. Musisz mu powiedzieć, a ja zadzwonię po Mayę, niech ci coś poradzi.

- Będę mamą...

- Więc chcesz to dziecko?

- Jasne. Wiem, że okoliczności są fatalne, ale nie mogłabym inaczej.

- Kiedy mu powiesz?

- Nigdy.
- Nie bądź głupia, musisz.
- Nie mogę.
- Boisz się, że będzie chciał wymusić aborcję?
- Przeciwnie, to uczciwy facet i będzie chciał wziąć na siebie odpowiedzialność.
- Ależ jest za to odpowiedzialny, sama w ciążę nie zaszłaś.
- On nie chce być ojcem. Miał straszne dzieciństwo, ojciec się znęcał nad nim i jego rodzeństwem. Wydaje mi się, że Connor podświadomie obwinia się za to i nie chce brać na siebie takich zobowiązań. Nie mogę go zmuszać.
- Przestań! Nie rób z siebie męczennicy.
- Wiem też, jak to jest spędzić dzieciństwo z mężczyzną, który nie chce być ojcem. Nie pozwolę, by moje dziecko to przeżywało.
- Rób, jak uważasz, ale jak Connor się dowie nie od ciebie, będzie jeszcze gorzej.
- Nie dowie się. Był przerażony, gdy wyznałam mu miłość. Nie będzie mnie szukał. Poza tym niedługo się wyprowadza.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

- Zatlukę was, gnoje!

Connor zadrzał, słysząc bełkotliwy wrzask.

- Con, tym razem on nie żartuje - szepnął przerażony Mac.

- Weź dziewczynki i uciekajcie do pani Flaherty. Ja go zatrzymam.

Drzwi powoli się otworzyły. Ciemny kształt posunął się w jego kierunku. Nagle dotkliwy ból przeszył plecy, pas rozrywał ciało...

To tylko koszmar. Weź się w garść, Brody.

Czekając, aż oddech się uspokoi, poczuł dojmującą samotność.

Dlaczego jej tu nie ma? Potrzebuje jej.

Dwa dni. Dwa długie, straszne dni, a rozpacz, zamiast ustąpić, wciąż narastała.

Ależ był głupi. Schrząnił wszystko od początku do końca. Rano pójdzie do Daisy i będzie ją błagał na klęczkach, żeby wróciła.

- Musimy porozmawiać.

W drzwiach stał ostatni mężczyzna, którego Daisy mogła się spodziewać.

- Idź stąd! - warknęła, próbując zamknąć drzwi.

- Nigdzie nie pójde. - Przytrzymał skrzydło, po czym wszedł do małego pokoiku.

- Nie możesz tu wejść!

- Za późno. Już wszedłem.

Gdy stanął na środku pomieszczenia, jego szerokie ramiona sprawiały, że pokój wydawał się jeszcze mniejszy.

- Proszę, idź sobie, Connor. Nasza przygoda już się skończyła. - Daisy wstała godzinę temu, a już dwa razy chodziła do łazienki. Co będzie, jeśli znów dostanie ataku nudności, a Connor skojarzy fakty? - Idź, nie mam ci już nic do powiedzenia.

- Ale ja mam. Wysłuchałem ciebie, teraz pozwól, że ja coś powiem.

- Nie obchodzi mnie, co masz mi do powiedzenia... - Gwałtownie zasłoniła usta.

- Co ci jest? Źle wyglądasz...

- Wynoś się! - Popędziła do łazienki.

Więc to tak? Kochała go tak mocno, że na jego widok zbierało jej się na wymioty?

Podszedł do kosmetyczki, wziął fiolkę z perfumami. Znajomy zapach wzbudził w nim to samo pragnienie, które nękało go od dwóch dni. Odłożył ampułkę i zobaczył obok małą buteleczkę.

- Witaminy ciążowe - przeczytał. - Co za...

- O nie... - usłyszał za sobą paniczny szept.

- Co to jest?

- Nic. - Wyrwała mu lekarstwa. - A teraz już idź.

- Nie powiesz mi?

- Proszę, idź. Udawaj, że nigdy tego nie widziałeś. Możesz żyć, jak masz na to ochotę. Ja również.

- Naprawdę tego chcesz? Aż tak mi nie ufasz? Nie ufasz własnym uczuciom?

- A jeśli ci powiem, że to nie twoje dziecko?

- Ależ z ciebie kłamczucha. Kocham cię, Daisy. Po to tu przyszedłem, żeby ci powiedzieć. Proszę, powiedz, że nie jest jeszcze za późno.

Myślała, że nie można już bardziej cierpieć, a jednak. Usłyszała słowa, o których marzyła, wiedziała jednak, że są kłamstwem.

- Nie wierzę ci.

- Nigdy nikomu nie wyznałem miłości, a gdy tobie ją wyznaję, nie wierzysz mi? Dlaczego, Daisy? - Dotknął czule jej policzka. - Już wiem, to przez matkę. Nigdy nie znalazła swojej miłości, więc ty nie uwierzysz w swoją, nawet gdy stoi przed tobą...

- Wiedziałam, że tak zrobisz. Poczujesz się odpowiedzialny. Nie kochałeś mnie przedwczoraj, więc i dziś mnie nie kochasz. Nie chcesz być ojcem, nie chcesz być ze mną. Wiedziałam, że jeśli dowiesz się o dziecku, zachowasz się jak należy. Tak samo jak wobec rodzeństwa. Woląłeś, żeby ojciec ciebie bił, niż patrzeć, jak oni cierpią. Tyle że dla mnie nie musisz się poświęcać. Connor, dam... damy sobie radę sami.

- Daisy, to takie słodkie - czule ujął jej dłonie - choć i niemądre zarazem. Skarbie, pragnę być z tobą, potrzebuję cię, Kocham. I kochałem przedwczoraj, tylko byłem zbyt głupi, by to dostrzec. A że jeszcze do tego jesteś w ciąży, to już w ogóle jestem w siódmym niebie.

- Hm... czyli teraz mnie już kochasz? - spytała, patrząc na niego czujnie.

- Kochałem, Kocham i Kochać będę już zawsze.

- Aha... W takim razie chcę z powrotem zaręczynowy pierścionek.

- Jasne! - Wybuchnął śmiechem. - Ale najpierw musisz zrobić coś dla mnie.

- Co?

- Chodź do domu. Do naszego domu.

EPILOG

Oślepiły ją fluorescencyjne lampy, ale po chwili widziała już piękne detale ze szkła i drewna.

- Och...

- Aż tak źle?

- Jest dokładnie tak, jak sobie wymarzyłam. - Jak to zrobiłeś? I jak udało ci się tak szybko?

Spełnił jej kolejne marzenie. I to takie, którego sama nie była świadoma.

Gdy pół roku temu Connor oświadczył, że kupił dla niej sklep, myślała, że go udusi. Chyba oszalał. W ogóle jej nie pytał o zdanie. Przecież to trzeba zorganizować, urządzić, zaopatrzyć, pokierować. I jak to pociągnąć, gdy urodzi się dziecko? Jednak wraz z upływem czasu wątpliwości zniknęły, a na ich miejsce pojawiła się radość z posiadania odpowiedniego miejsca do prezentowania swoich projektów i warsztatu na zapleczu, żeby je szyć. Connor cały czas był przy niej, pomagał i doradzał, a przede wszystkim organizował prace budowlane. Nie byli już parą. Byli jednością.

- Będzie wielka inauguracja z szampanem! - entuzjasmowała się Daisy. - Zaprosimy wszystkich, myślę, że za miesiąc zdążymy...

- Wielka inauguracja będzie musiała poczekać - przerwał jej. - Na razie będziesz zajęta sobą i dzieckiem. Urządzimy inaugurację, powiedzmy, w lipcu, jeśli będziesz się dobrze czuła.

- Przecież to tyle miesięcy!

- Nic na to nie poradzę. I nie licz na Juno, jest po mojej stronie.

- Oczywiście, Connor!

- Zdrajczyni - ze śmiechem skomentowała Daisy.

Początkowa niechęć zmieniła się w przyjaźń. Connor traktował Juno jak młodszą siostrę, doradzając jej, pomagając i żartując. Ona droczyła się z nim,

przyjmując rady tylko wtedy, gdy sama już wcześniej wpadła na takie rozwiązanie, była bowiem obsesyjnie samodzielna i uparta jak diabli.

- Termin mam za dwa tygodnie - marudziła Daisy. - Jeszcze zdążę coś zrobić. Szkoda, żeby pomieszczenie stało puste.

- Wcale nie szkoda. Mamy tyle czasu, ile chcemy, a z tego, co widzę, niekoniecznie musi to trwać dwa tygodnie.

- Serdeczne dzięki. Wiem, że wyglądam jak balon, ale nie musisz mi tego ciągle wypominać.

- Przestań dopominać się komplementów. Wiesz, że wyglądasz cudownie.

- Skoro zaczynacie się migdalić, to ja spadam - oznajmiła Juno.

- Idź, idź. Jasne, że będziemy się migdalić - ze śmiechem odparł Connor.

- Przyjdę jutro, Daze, by cię przypilnować.

- Zdrajczyni!

- A pewnie. - Juno zamknęła za sobą drzwi sklepu.

- Mam jeszcze jedną sprawę do ciebie.

- Tak? - spytała Daisy, doskonale wiedząc, co ma na myśli jej narzeczony.

- Ustalenie daty ślubu.

- Mówiłam ci, że nie chcę wyglądać podczas ceremonii jak wieloryb.

- Przecież nie wyglądasz. Posłuchaj, znalazłem doskonale miejsce we Francji.

W trzecią sobotę sierpnia mają wolny termin. Możemy tam zostać na tydzień i wrócić na Karnawał Portobello. Co ty na to?

- A mówiłeś, że mamy tyle czasu, ile chcemy.

- Dlaczego wciąż nie zgadzasz się na ustalenie daty ślubu? Jest jakiś szczególny powód?

Westchnęła ciężko.

- Skontaktuj się z Makiem. Chcę go zaprosić.

- Chcesz go... co?

- To twój brat. Będziemy mieli dziecko, zostanie stryjem, a przysięga małżeńska sprawi, że zostaniemy rodziną. Chcę, żeby był przy tym. Ty nie chcesz?

- A... a jeśli nie przyjedzie?

- Jeśli jest twoim bratem, to nie stchórzy. Musicie się z sobą zobaczyć. Musicie traktować się jak bracia. Jest twoją rodziną, więc będzie i moją rodziną.

- Ależ ty jesteś... No dobra. Skontaktuję się z Makiem. Mam nadzieję, że zniesie jakoś tę wiadomość.

- Dziękuję. Wiem, że tak będzie dobrze.

- Czyli ustaliśmy datę ślubu na osiemnastego sierpnia. I już żadnych wymówek. Zrozumiano?

- Tak jest, Connor.

Trzy dni i czternaście godzin później Daisy trzymała na rękach swoje kolejne marzenie. Mały Ronan Cormac Brody ssał zawzięcie jej pierś, a jego ojciec stał nad nimi, obejmując Daisy, i patrzył zachwycony. Wiedziała, że znalazła szczęście, o jakim marzyła w najskrytszym zakamarku swego serca.

